

Kristi Gold

Huragan

Znajdują spokój, którego inni usilnie szukają;
Najcięższe wichry nie trwają już w nieskończoność.
Niebioso łaskawe nawet dla sumień, obarczonych najcięższą winą.
Amnestia dla tego, co było...
William Wordsworth

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przez większą część trzydziestotrzyletniego życia Marissy Klein ten niewielki dom na Florydzie, pomalowany na kolor oceanu, był jej stałym azylem w lecie, miejscem, gdzie rozwijała swoją wyobraźnię i wzbogacała duszę. Przez pięć lat odwiedzała dom tylko we wspomnieniach, głównie o ostatnich rozmowach z ojcem, dopóki był jeszcze w stanie mówić. Osiem miesięcy temu podjęła decyzję o wyprowadzce z New Hampshire i powróciła tu na stałe, żeby uciec od przejmujących wiatrów północnych, mimo smutnych wspomnień o ostatnich godzinach ojca.

A teraz... teraz w jej głowie dojrzewała nowa decyzja. Jej doniosłość uzmysłowiła sobie w chwili, gdy otworzyła drzwi do jasnego, przestronnego salonu, gdzie każdy mebel, każdy kąt przypominał jej uwielbianego ojca. Chociażby ten obity czarną skórą fotel bujany, ustawiony przed oknem, z którego roztaczał się piękny widok na trawnik przed domem. Obok fotela stoliczek ze szklanym blatem. Na tym stoliczku zawsze czekała na ojca jego wieczorna brandy. Drobną przyjemność, tak samo jak wieczorne rozmowy z jedyną córką, na przykład o literaturze. Ojciec wychwalał pod niebiosa klasykę, córka optowała za literaturą współczesną. I nawet najbardziej zażarta dyskusja kończyła się serdecznym uściskiem i zgodnym stwierdzeniem, że każdy ma prawo mieć odmienne zdanie. Ojciec oszedł. Ostatnie miesiące w tym domu Marissa spędziła samotnie...

- A kto jest twoim skarbem? To znaczy - prawie samotnie.

Rzuciła walizkę na podłogę. Jednym kopniakiem zamknęła za sobą drzwi i pomasowała pulsujące skronie. Zatłoczony samolot plus czterogodzinne międzylądowanie dały jej się w znaki. Teraz przede wszystkim potrzebowała chwili spokoju, niestety w domu czekał na nią ktoś niezwykle hałaśliwy i absorbujący: wspaniale upierzona istota płci żeńskiej, nie dość, że zdeklarowana złodziejka, to jeszcze potworna gaduła. Po prostu dziób jej się nie zamykał.

- Sekundkę, Baby!

Przemknęła koło złoconej klatki, wpadła do kuchni i z ulgą rzuciła na stół torbę wyładowaną zakupami. Nie, w tym właśnie momencie nie miała ani siły, ani nastroju na pogawędkę z wielką arą macao, nawet jeśli to czerwono-niebieskie чудо przez trzy ostatnie lata było jej

najwierniejszą towarzyszką, a ostatnich pięć dni musiało spędzić bez swojej ukochanej właścicielki.

Teraz przede wszystkim należało pozbyć się urzędowego odzienia i przebrać się w wygodne, domowe ciuchy. Maszerując przez hol, Marissa zrzuciła z nóg pantofle na obcasach, ściągnęła czarny żakiet i spodnie. W drzwiach sypialni pozbyła się biustonosza, który wykonał piękny lot przez cały pokój. Włożyła szorty w kolorze khaki, granatowy top, z ulgą walnęła się na cudownie wygodne łóżko i przymknęła oczy. Niestety głowie nie dała odpocząć. Bo wciąż ten sam nierozwiązany dylemat...

Wyjechać czy zostać?

Jak zwykle trudno ci podjąć decyzję, Marisso, pomyślała zgryźliwie, zła na siebie, nie pierwszy zresztą raz w życiu.

Ale cóż, niezdecydowanie było jedną z jej licznych wad. Potrafiła w nieskończoność rozważać wszystkie za i przeciw, w kółko i na okrągło, aż robiło jej się od tego niedobrze. Tak samo było teraz, choć wydawało się, że sprawa jest jasna. Skończy się samotne bytowanie, zacznie pracować poza domem, wśród ludzi, w ciekawym mieście, gdzie czeka ją na pewno mnóstwo wspaniałych wrażeń. Może znów zacznie się z kimś umawiać...

Donośny, pełen pretensji głos Baby poderwał ją z łóżka. Szybko związała gumką włosy w koński ogon i tym razem, podążając przez salon, zatrzymała się przed złoconą klatką.

- Witaj, Baby! Wyglądasz przepięknie. Widzę, że masz jedzonko i wodę, czyli podczas mojej nieobecności wcale nie było ci źle. Jen i Greg spisali się na medal, trzeba wpaść do nich i podziękować.

Baby spojrzała na Marissę raczej obojętnie i zajęła się czyszczeniem swych wspaniałych piór. Nie trwało to jednak długo, bo po chwili postanowiła przekazać pewną istotną informację:

- Greg jest supergość.

Supergość? No proszę, nowe słowo w repertuarze drogiej Baby... Kto ją tego nauczył? Przypuszczalnie Jen, sąsiadka, lat dziewiętnaście, czyli sama płocha młodość i fiu bzdziu w głowie. Najlepszym zaś sposobem na uzyskanie pewności jest po prostu konfrontacja.

Wsunęła umęczone stopy w ukochane, rozepchane klapki, chwyciła torbę z zakupami i pomknęła do drzwi. Po ich przekroczeniu skręciła w lewo i wąskim chodniczkiem podążyła na sąsiednią posesję, do wyjątkowo solidnego domu z jasnobrązowego kamienia. Tę fortecę

zbudowano podczas jej pięcioletniej nieobecności w Ocean Vista. Niestety, przy okazji posesja została prawie całkowicie pozbawiona drzew. Znikły palmy, trójgłowe sosny i majestatyczne zimozielone dęby. Niezależnie jednak od tych poczynań, Marissa nie mogła sobie wymarzyć lepszych sąsiadów niż ten rozwiedziony lekarz, doktor Westbrook, i jego nadzwyczaj towarzyska córka. A poza tym jej własne drzewa były w stanie nietkniętym, stare, dostojne i liczne. Kiedy pokonała niski żywopłot dzielący obie posesje, zatrzymała się na chwilę i wciągnęła mocno w płuca świeże morskie powietrze znad Zatoki Meksykańskiej. Cudowny zapach... Trzeba przyznać, że Chicago, w którym miała ewentualnie zamieszkać, w porównaniu z tym uroczym miejscem miało wiele minusów. Tu nie było dzikich tłumów, ryczących klaksonów ani wściekłych kierowców, obrzucających się nawzajem błotem. Nic, tylko cisza, spokój i szmaragdowe fale oceanu, które można było obserwować zaledwie kilka kilometrów stąd.

Zwykle podczas swoich wizyt Marissa wchodziła na posesję od strony patio, tak też zrobiła i tym razem. Pewnym krokiem podeszła do furtki, ale nie otworzyła jej. Prawie zastygła, zaintrygowana dziwnymi odgłosami dobiegającymi z za płotu. Przede wszystkim ten chrapliwy oddech...

Zaczęła uważnie nasłuchiwać. Czyżby Greg, korzystając z nieobecności córki, uprawiał jakieś figle-migle ze swoją aktualną dziewczyną, Sophie? Na przykład na leżaku nad basenem? W biały dzień? Żenada.

Nie, nie chciała się nad tym zastanawiać. Jedyne, co mogła zrobić, to w tył zwrot i wracać do domu, przyrzekając sobie solennie, że o następnej wizycie w tym domu uprzedzi gospodarzy telefonicznie. Nagle Greg głośno zaklął. Potem cisza. Nie odezwał się żaden kobiecy głos.

Żadnego w tył zwrot, ciekawość przeważała. Marissa przykucnęła, wkleiła twarz w szparę w płocie i omal nie wybuchnęła śmiechem. Doktor Westbrook po prostu oddawał się ćwiczeniom fizycznym na specjalnie do tego celu skonstruowanym przyrządzie. Siedział na czarnej ławeczce, w każdej ręce trzymał koniec linki i oba te końce przyciągał do swojej nagiej piersi. Raz, dwa, raz, dwa... Za każdym razem mięśnie szerokiej klatki i brzucha napinały się efektownie, żyły na karku nabrzmiwały. Doktor ubrany był tylko w krótkie spodenki i

adidasy. Dzięki temu oprócz nagiej piersi Marissa mogła podziwiać także długie, opalone nogi.

Doktor, ze swoimi wypłowiałymi na słońcu włosami i trochę melancholijnym spojrzeniem ciemnych oczu, wyglądał bardziej na gwiazdę rocka niż na lekarza, choć brakowało mu skórzanych spodni i kolczyków wklutych tu i ówdzie. Jego skóra była brązowa przez cały rok, częściowo dzięki babce Kubance, częściowo dlatego, że codziennie po południu uprawiał jogging.

Nietypowy doktor rodzinny, bo w pierwszym rzędzie wspaniały mężczyzna. Wszystkie przyjaciółki jego córki twierdziły zgodnie, że to odlotowy facet. Tego samego zdania była zresztą większość kobiet z Ocean Vista.

Greg jest supergość.

Masz rację, Baby, skarbie. On taki właśnie jest, co widać na załączonym obrazku.

Wciąż napinał się i wyęczał, a Marissa chłoneła każdy jego ruch. Kiedy jednak zdrętwiały jej nogi, postanowiła skończyć ze szpiegowaniem, w każdej chwili mogła przecież nadjechać Jen i przyłapać ją na podglądaniu jej ukochanego tatusia przez dziurę w płocie.

Wstała, otworzyła furtkę i z radosnym uśmiechem wkroczyła na patio.

- Cześć, kochany! Już jestem!

W spojrzeniu, jakim ją obdarzył, było zaskoczenie. Prawdopodobnie zdziwiło go powitanie. Ale to miłe słowo - kochany - jakoś tak samo wymknęło jej się z ust.

- Cześć! Kiedy wróciłaś? - spytał, serwując przy tym ten swój zniewalający uśmiech, podczas którego w policzkach pojawiały się dwa dołeczki, zresztą nieco różne, bo prawy był trochę bardziej wyrazisty niż lewy.

- Przed chwilą. - Wskazała na urządzenie o raczej skomplikowanej konstrukcji i spytała: - Nowa zabawka?

Greg wstał z ławeczki i zarzucił sobie na kark ręcznik.

- Tak. Wygodniejsze to niż jeżdżenie do siłowni. Zdecydowałem się wypróbować je tutaj, na patio, póki jest ładna pogoda. Potem wstawię do domu. - Jego spojrzenie pomknęło ku wyładowanej torbie. - A co ty tam masz?

- Steki. Pomyślałam, że możemy zrobić barbecue, oczywiście o ile ty i Sophie nie macie innych planów. - Wstrzymała oddech i czekała, naturalnie z nadzieją.

Greg spojrzął gdzieś w dal.

- Sophie już więcej tu nie przyjedzie.

- Naprawdę?! - Ze wszystkich sił starała się ukryć zachwyt w swoim głosie. - Ale co się stało? Och, przepraszam, to nie moja sprawa...

- Powiedzmy, że nasz związek w ciągu ostatnich miesięcy przeżywał stopniowy upadek, aż w końcu umarł śmiercią naturalną. Sophie dążyła do zalegalizowania naszej... przyjaźni, a ja nie dążyłem.

Bo raz już się sparzył, to jasne. Marissa wiedziała, że rozwód Grega nie przebiegał w przyjacielskiej atmosferze, w każdym razie tak można było wywnioskować z różnych aluzji i wzmianek jego córki.

- To fatalnie - powiedziała, choć, co oczywiste, wcale tak nie myślała. Jej zdaniem droga Sophie, lat dwadzieścia parę i mistrzyni makijażu, w sprawach umysłowych wykazywała poważne niedociągnięcia. Ale takie zdanie prawdopodobnie podyktowane było zwyczajną zazdrością. Greg zajrzał do torby.

- Nie kupiłaś polędwicy?

- Ciesz się, że w ogóle udało mi się kupić jakieś mięso. Ludzie poszaleli, rozdrapują wszystko ze sklepów.

Twarz Grega spoważniała.

- Nie poszaleli, Marisso. Kupują, bo być może nadciągnie tu huragan. Nie oglądałaś pogody w telewizji?

Tylko jednym okiem. Niestety.

- Przecież mamy dopiero lipiec, a huragany zwykle bywają we wrześniu.

- Owszem, wrzesień to ich ulubiony miesiąc, ale na pewno dobrze wiesz, że sezon na huragany zaczyna się już w czerwcu.

- Jasne, że wiem, ale przez ostatnie dwa dni prawie nie oglądałam telewizji. Miałam mnóstwo wywiadów. Po powrocie do domu od razu szłam do łóżka...

- Sama?

To głupie pytanie zasługiwało na odpowiednią reakcję, czyli wywrócenie oczami, co też Marissa skwapliwie uczyniła, potem zaś uzupełniła bezsłowny przekaz:

- Tak, sama, chociaż, nie ukrywam, był ktoś, kto wolałby, aby było inaczej.

Co szkodzi dać do zrozumienia, że jej sytuacja pod tym względem wcale nie jest taka beznadziejna, jak jest w istocie.

- Hm... a kto to taki? - spytał Greg takim tonem, jakby się o nią martwił.

- Och... pewien handlowiec. Bardzo sympatyczny i odnosi sukcesy.

- Lecz i tak dałaś mu kosza. Zabrzmiało to raczej sceptycznie.

- A dałam, dałam, bo nie uznaję seksu dla samego seksu. Poza tym nie sypiam z facetami, którzy mają żony i dzieci. Może jednak odłożymy ten temat na bok. Powiedz mi lepiej, jak to jest dokładnie z tym huraganem.

- Przesuwa się w stronę Keys. Niewykluczone, że zawita do nas.

Chodźmy do środka, to posłuchamy najnowszego komunikatu.

Kiedy weszli do domu, Greg został w salonie, Marissa natomiast skierowała swe kroki do kuchni i zajęła się rozpakowywaniem torby.

Nie chciała, by Greg zauważył, że ona, szczerze mówiąc, jest na pograniczu paniki. Nigdy dotąd nie przeżyła huraganu, bo kiedy zapowiadano tropikalne cyklony, jej ojciec nie przyjeżdżał z nią do Ocean Vista. Modlili się tylko, żeby dom ocalał. I - jak dotąd - dom zawsze wychodził bez szwanku z żywiołu, co najwyżej kończyło się na kilku naprawach.

- No i jak?- krzyknęła po chwili w stronę otwartych drzwi.

- Mówią, że huragan przesuwa się na zachód! Chyba uderzy gdzie indziej. - Ledwie zdążyła westchnąć z ulgą, kiedy Greg dodał: - Ale to jeszcze nic pewnego.

Aha, nic pewnego! Już czuła, co się święci.

Po prostu masakra...

- Greg! A jak nazwali ten huragan?

- Eden.

Eden, czyli biblijny raj, czyli nazwa raczej nie najszcześniejsza.

Wyjrzała przez okienko między kuchnią a pokojem. Greg, odwrócony do niej plecami, stał przed telewizorem.

- A gdzie jest Jen?

- W Europie.

Słyszając tę rewelację, Marissa natychmiast przemieściła się z kuchni do pokoju.

- Kiedy wyjechała?

- Dwa dni temu - powiedział, nie odrywając oczu od ekranu telewizora. - Zrobiła sobie wycieczkę razem ze swoją matką.

Matka Jen. Greg zawsze tak mówił o swojej byłej żonie. Wspominał o niej bardzo rzadko. Marissa widziała Beverly Westbrook tylko raz, i to przelotnie.

- Jen nic mi o tym wyjeździe nie wspominała. Z pilotem w ręku opadł na sofę i zaczął przerzucać kanały.

- Mnie powiedziała w ostatniej chwili. Pewnie się bała, że nie pozwolę jej na tę podróż.

I chyba jej obawy nie były nieuzasadnione, bo Greg mówił o tym wyjeździe bez cienia entuzjazmu.

- Kiedy wróci?

- Za dziesięć dni, może trochę później. Po powrocie będzie tu jeszcze przez kilka tygodni, potem wyjeżdża do college'u.

- Aha.

Steki, sałata i ziemniaki mogą poczekać. Marissa przysiadła na fotelu, podobnie jak sofa utrzymanym w kolorze morskiej zieleni. Doktorska rezydencja, kiedy znalazła się tu po raz pierwszy, zadziwiła ją. Ściany były z kamienia, posadzka - goły beton pomalowany szarą farbą. Greg wyjaśnił jej, że zamówił u architektów specjalny projekt, by jego dom przetrzymał każdy huragan. Z czasem Marissa przywykła, a nawet polubiła zarówno ten ekscentryczny budynek, jak i właściciela.

Zwłaszcza właściciela.

Zsunęła klapki i podwinęła nogi.

- Nie martw się, Greg. Do Georgii stąd niedaleko, będziesz często odwiedzał Jen, a ona na pewno co najmniej raz w miesiącu przyjedzie tu na weekend. A już na pewno, kiedy będzie potrzebowała pieniędzy. Niestety, drobny żarcik wcale nie wpłynął pozytywnie na jego nastrój.

- Sama wiesz, jak to jest, kiedy człowiek wyjeżdża do college'u daleko od domu. Nowe otoczenie bardzo szybko wciąga i zapomina się o rodzicach.

Z tym Marissa mogła dyskutować, bo zawsze utrzymywała bliski kontakt z ojcem, chociaż dzieliła ich spora odległość, i to przez kilka lat.

- Akurat ty nie powinieneś tym się martwić.

Jen bardzo cię kocha. Jak myślisz, dlaczego po waszym rozwodzie chciała zamieszkać z tobą?

- Bo właśnie zaczęła naukę w szkole średniej i żal jej było rozstawać się z przyjaciółmi.

- Nieprawda. Bez trudu przyzwyczaiłaby się do nowej szkoły. Po prostu nie chciała rozstawać się z tobą, Greg. Sama mi zresztą o tym mówiła. A teraz, po wyjeździe, dzwoniła już do ciebie?

- Tak, kiedy doleciała do Londynu.

- Jak będziesz znów z nią rozmawiał, proszę, przekaż Jen, że czekam na jej powrót z utęsknieniem. Muszę ją trochę obsztorcować.

Wzrok Grega natychmiast oderwał się od telewizora.

- Narozrabiała?

- Ach, nic znowu aż tak okropnego. W kaž-, dym razie ma to związek z moją Baby.

- Z Baby? Opiekowałem się nią przez ostatnich kilka dni. Wydaje mi się, że z nią wszystko w porządku.

Po twarzy Grega przemknął uśmiech, co w Marissie natychmiast wzbudziło poważne podejrzenie, że doskonale wiedział o kolejnym nowym kroczku we wzbogacaniu słownictwa uczonej papugi.

- Przedtem Baby nie twierdziła, że Greg jest supergość. Myślę, że to sprawka Jen. Może wiesz coś na ten temat?

- A niech to... - Wybuchnął głośnym śmiechem. - Przez dwa dni próbowałem ją tego nauczyć, a ona nic. Po prostu czekała na twój powrót!

Marissa potrzebowała minuty, żeby uwierzyć własnym uszom.

- Chwileczkę! Czy to znaczy... że to ty?! Wzruszył ramionami.

- No cóż... Dobijam do czterdziestki, więc muszę jakoś podbudować swoje ego.

- Ty? Greg Westbrook? Czy wiesz, ile kobiet w tym mieście z wielką chęcią zabrałoby się do głaskania tego twojego ego? I nie tylko ego... Nachylił się, objął rękoma kolana.

- A znasz którąś z nich? - spytał. Oczywiście. Przecież siedziała obok!

- Jestem pewna, że bez problemu bym ją znalazła, panie doktorze.

Utkwił w niej swoje ciemnobrązowe rozbawione spojrzenie.

- Przyznaj się, Marisso. Każdy chce, żeby ktoś go czasami pogłaskał. Nawet ty.

Jej podbródek powędrował w górę.

- Moje ego nie wymaga pieśczoł!

- A kto tu mówi o ego?!

- A... no to może ja zajmę się obiadem. - Przemieściła się szybko z powrotem do kuchni i zajęła wkładaniem ziemniaków do

zlewozmywaka. Nie minęła nawet sekunda, kiedy Greg był przy niej.

- Możesz rozpałać grilla - rzuciła przez ramię.

- Za chwilę. Przedtem chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Doskonale wiedziała, czego. Dziwiła się tylko, że nie zrobił tego wcześniej.

- Tak. Zaproponowali mi pracę.

- Ale ja nie o to chcę zapytać.

- Nie? - Oderwała papierowy ręcznik z rolki na drążku i rozłożyła go na stole, szykując coś w rodzaju parkingu dla opłukanych ziemniaków.

- A o co?

- Mieszkasz tu na stałe prawie od roku, ale nie zauważyłem, żebyś z kimś się umawiała.

- I co z tego?

- Jesteś bardzo atrakcyjna, więc się dziwię, że nie masz faceta.

Marissa wzruszyła ramionami - jak dobrze, że wymyślono taki gest, jakże pomocny w chwilach zakłopotania - odwróciła się i oparła plecami o zlewozmywak.

- A skąd wiesz, że nie mam gorącego romansu na przykład z gościem od czyszczenia basenu?

- Nie możesz. Bo nie masz basenu. Punkt dla niego. Ale...

- A skąd wiesz, czy nie umawiam się z facetem od twojego basenu?!

- Niemożliwe. Sam dbam o swój basen.

- Aha. - Marissa odwróciła się z powrotem do zlewozmywaka i zajęła płukaniem ziemniaków.

- Kiedy zamieszkałam w Chicago, moje życie towarzyskie i intymne na pewno stanie się ciekawsze.

- Prawdopodobnie. To ja idę włączyć grilla i wezmę szybki prysznic.

Dziwne, że nie wypytywał o szczegóły dotyczące tej nowej pracy.

Żadnego: „Gratuluję, Marisso, na pewno będziesz zadowolona”.

Żadnego dociekania, czy jej decyzja jest ostateczna. A przecież wcale nie była. Sama jeszcze nie wiedziała na sto procent, czy przyjmie tę pracę. Musiałaby wtedy zrezygnować z prowadzenia własnej firmy i pracy w domu, no i sprzedać dom w Ocean Vista. A to byłoby jak ostateczne pożegnanie z ojcem.

Musiałaby też rozstać się z Gregiem i Jen, a przecież to dzięki nim nie czuła się tak kompletnie samotna.

W tym jednak momencie, w obliczu nadciągającego żywiołu, sprawa nowej pracy odsuwała się na dalszy plan. Huragan w każdej chwili mógł zmienić kierunek i za swój cel obrać Ocean Vista, a w konsekwencji podjąć decyzję dotyczącą dalszych losów Marissy Klein.

Greg, popatrując na Marissę, zastanawiał się w duchu, skąd u niego raptem tego dnia wzięły się tak wielkie trudności w prowadzeniu konwersacji, i to z kobietą miłą i życzliwą, poza tym fantastyczną. Podobało mu się w niej wszystko. Proste brązowe włosy, ciemnoniebieskie oczy, no i te kształty, choć niby gustował w kobietach wysokich i bardzo szczupłych. Trudno jednak było nie oceniać pozytywnie tej niby drobnej, a zarazem gdzie trzeba wyraziście zaokrąglonej postaci. Miał okazję to zobaczyć, kiedy Marissa, zamiast w szortach i rozciągniętym T-shircie, objawiła mu się w kostiumie kąpielowym.

Przyzwyczajony był do jej towarzystwa, widywali się przecież często, zawsze jednak obecna była przy tym Jen. Dziś po raz pierwszy miał Marissę wyłącznie dla siebie, lecz zachowywał się jak krety. Był milczący, podczas rozmowy przy obiedzie nie złożył jej gratulacji z powodu korzystnej zmiany w życiu zawodowym. Co wcale nie znaczy, że nie życzył jej dobrze. Wręcz przeciwnie, ale aż wzdragał się na samą myśl, by Marissa miała stąd wyjechać na zawsze.

Wzdragał się, ponieważ niedawno uświadomił sobie coś bardzo istotnego. Marissa już dawno przestała być dla niego tylko miłą sąsiadką. Stała się kimś znacznie ważniejszym, a to z kolei było głównym powodem jego niedawnego rozstania z Sophie. Otóż zaczął ją podświadomie porównywać z Marissą, co dla Sophie skończyło się kompletną porażką.

Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że zasadnicza zmiana charakteru ich znajomości byłaby posunięciem idiotycznym, tym bardziej że Marissa zdecydowała się na wyjazd.

Idiotyczne czy nie, on i tak wciąż się nad tym zastanawiał.

- Marisso, a kiedy właściwie masz zamiar stąd wyjechać?

Najpierw podniosła do ust kieliszek i wypła łyce.

- Jeszcze nie wiem. Nie dałam im konkretnej odpowiedzi.

Dobra wiadomość. Tak, nawet bardzo dobra.

- A kiedy masz zamiar to zrobić?

- Pod koniec tygodnia. Muszę jeszcze się zastanowić. Chociaż to naprawdę jedyna taka okazja w moim życiu.

To zdanie, niestety, bardzo mu się nie spodobało, oznaczało bowiem, że Marissa zaczyna skłaniać się ku decyzji „tak”.

- A co z twoją firmą?

- Zatrudniam tylko dwie osoby, Susan i Billa. Susan chce kupić moją spółkę. Obecnie realizujemy kilka zleceń, więc sytuacja jest dobra, poza tym zostawię spore kontakty, co dobrze rokuje na przyszłość. Bill już zadeklarował, że chce pracować u Susan.

- Rozumiem. Ale czy zastanawiałaś się nad tym, że' jeśli przyjmiesz ten etat, to stracisz samodzielność?

Cholera! W jego głosie po prostu słychać było desperację!

Bo może faktycznie był zdesperowany?

- Nie stracę - powiedziała Marissa. - Będę szefem. Proponują mi stanowisko kierownika działu badań rynkowych.

- A można wiedzieć, o jaki rynek chodzi? Wypiła kolejny łyk wina i odstawiła kieliszek na stół. Wydawało mu się, że zrobiła to zbyt energicznie, w końcu miała do czynienia ze szkłem.

- Głównie produkty dla kobiet.

- Co konkretnie?- - spytał, wyczuwając już, że z tym jest mały problem.

Zarumieniła się jak jakaś małolata i zaczęła nerwowo skubać koński ogon.

- Higiena intymna, jeśli już koniecznie musisz wiedzieć.

- Nie musisz się tak wstydzić, Marisso. Jestem lekarzem, byłem żonaty i mam nastoletnią córkę. Poza tym, jeśli nie potrafisz swobodnie rozmawiać o tych produktach ze mną, to co dopiero będzie, kiedy zaczniesz je rozprowadzać?

- Będzie dobrze. Nie miałam żadnego problemu, kiedy rozmawiałam o tym z szefami korporacji. A z tobą... z tobą to co innego. Po prostu ten temat zasadniczo odbiega od tego, o czym zwykle rozmawiamy.

- Fakt. Na ogół rozmawiamy o Jen.

- Tak. A wracając do tych produktów... - Złączyła dłonie, oparła ręce na stole. Palce były zaciśnięte tak mocno, że skóra na kostkach zbielała. - Firma zastanawia się nad wprowadzeniem na rynek nowej linii specjalnych żeli. Towar ekstra, najwyższej jakości.

- A czy to przypadkiem nie chodzi o żele dopochwowe dla kobiet po menopauzie?

Chwyciła serwetkę i zaczęła nerwowo skręcać ją w rulonik.

- Nie. Te produkty przeznaczone są dla kobiet młodszych, przed trzydziestką do trzydziestu pięciu lat.

- Czyli dla twojej grupy wiekowej.

- Tak! - Serwetka, zwinięta w kulkę, trafiła Grega w ramię. - Widzę, że aż cię skręca, żeby dowiedzieć się, ile mam dokładnie lat. Żadna tajemnica. Trzydzieści trzy. I jeszcze pół.

- Wcale mnie nie skręca, bo już to wiem.

- A niby jakim cudem?

- Żadnym cudem, tylko od Jen. A jeśli chodzi o ten produkt, to uważam, że żaden żel nie jest potrzebny, jeśli mężczyzna dobrze się zna na grze wstępnej.

- O, jaki mądry... - Marissa mruknęła coś jeszcze gniewnie i złapała za swój talerz. - Pozmywam i wracam do domu. Muszę przygotować się na wypadek, gdyby rzeczywiście zawitał tu jakiś cyklon.

Idiota. Spłoszył ją tą swoją głupią uwagą, a przecież, gdyby to od niego zależało, nie wypuściłby jej stąd przez całą noc.

- Sam pozmywam. - Złapał ją za rękę. - Zostań jeszcze trochę. I tak niewiele zrobisz wieczorem.

- Chcę zebrać najcenniejsze pamiątki i pochować do reklamówek.

- Zrobisz to jutro rano. A ja pozabijam deskami twoje okna.

- Przecież sam musisz się przygotować.

- Ja już jestem przygotowany. Mam sterowane pilotem metalowe żaluzje, zgromadziłem też odpowiednie zapasy. Muszę tylko przywieźć opatrunki i lekarstwa z kliniki i zanieść je do schronu. Wchodzę w skład ekipy ratunkowej, dlatego muszę być w stanie gotowości.

- Daj Boże, Greg, żeby jak najmniej ludzi potrzebowało twojej pomocy...

Też miał taką nadzieję. Doskonale wiedział, z jakimi przypadkami może mieć do czynienia. Do jego kliniki w Ocean Vista zgłaszali się głównie emeryci i turyści z niegroźnymi obrażeniami, ale kiedy jeszcze pracował w Miami, na kierowanym przez niego oddziale chirurgii urazowej, było całkiem inaczej. Tam trafiały ofiary makabrycznych wypadków samochodowych i zbrojnych porachunków gangsterskich, a także maltretowane kobiety i dzieci.

- Pójdę już, Greg. Zrobiło się późno. - Wstała. Tym razem jej nie zatrzymywał.

- Odprowadzę cię.
- Jestem już dużą dziewczynką, panie doktorze. Trafię do swojego domu.
- Ale ja nalegam, chyba że będzie to dla ciebie niezręczna sytuacja, bo czeka u ciebie ten facet od basenów.
- Niestety, czeka na mnie tylko papuga, która, jak podejrzewam, przez całą noc będzie mi przypominać, że ty jesteś supergość. Greg obszedł stół i stanął przed nią tak jakoś dziwnie blisko.
- Życzyłbym sobie, żebyś w to uwierzyła, Marisso. Ze śmiechem szturchnęła go w pierś.
- Nie martw się. Już mnie przekonała. Szybkim krokiem wyszła z kuchni. Greg poszedł za nią, czując, że jego determinacja w kwestii zatrzymania Marissy w Ocean Vista zaczyna osiągać niebywale rozmiary. Był gotów na wszystko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Szli w kompletnej ciszy chodniczkiem, który łączył ich posesje. Napięcie między nimi dotarło niemal do górnej granicy skali, a Marissa coraz bardziej świadoma była faktu, że tego wieczoru w jej relacjach z Gregiem nastąpiła zasadnicza zmiana. Zdecydowane przesunięcie w kierunku czegoś, co dalekie jest od więzów czysto przyjacielskich.

Nic dziwnego, że była zdenerwowana, dlatego do tak prostej czynności jak otwarcie drzwi zabrała się równie zręcznie jak przedtem do płukania ziemniaków. Najpierw długo szperała w kieszeni, szukając klucza, potem ten klucz za nic nie chciał się przekręcić w zamku. Uczynił to, dopiero gdy ciepłe palce Grega chwyciły ją za nadgarstek i pokierowały dłonią.

Potem stało się jeszcze coś. Greg pochylił się i pocałował ją w usta. Ten pocałunek można by zdefiniować również jako muśnięcie, niemniej na pewno było to pocałunek.

- Dobranoc, Marisso. Zobaczymy się jutro.

Dobranoc... Nie wiadomo, czy ta noc będzie dobra, ale z całą pewnością bezsenna. Greg, jak dotąd, nigdy jej nie pocałował, nawet niewinnie, w policzek.

Dlatego teraz stała jak wryta, odprowadzając go pełnym zdumienia spojrzeniem. Gapiała się tak, póki nagle nie zrobił w tył zwrot, wrócił i znów poczuła na swych ustach jego usta. Objął ją bardzo mocno, używając do tego dominującej siły swoich atletycznych ramion, i zaserwował pocałunek jak najdalszy od muśnięcia, to znaczy namiętny, zachłanny, niemal desperacki.

Pod Marissą z wrażenia aż ugięły się nogi. Była pewna, że jej włosy, gdyby nie były ściągnięte w koński ogon, zmieniłyby się w tysiące spiralek. Ale zanim jej myśli całkowicie wymknęły się spod kontroli, zdążyła sobie uzmysłwić, że nareszcie stało się to, czego pragnęła od wielu miesięcy: doczekała się pocałunku sąsiada!

Stało się, i to na jej werandzie od frontu, żeby każdy mógł sobie popatrzeć, jak by przyszła mu na to ochota. Naturalnie w tym momencie była to dla niej pestka.

Niestety, słodka przyjemność nie trwała w nieskończoność. W chwili, gdy Marissa była pewna, że nogi załamią się pod nią definitywnie, mocne ramiona wypuściły ją z objęć.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem Greg odwrócił się i odszedł bez słowa.

Minęła minuta, zanim była w stanie wydobyć z siebie głos.

- Greg! Zaczekaj!

Nie zatrzymał się. Podniósł ręce, splótł palce na karku.

- Idź już do domu, Marisso! - krzyknął i zniknął w ciemnościach.

Miała wrażenie, jakby cały ten epizod tylko sobie wyśniła. Taki kawałek kolorowego snu. Kiedy jednak dotknęła swoich warg, przekonała się, że są wilgotne i lekko obrzmiałe. Czyli nie był to sen, tylko prawda.

Prawda, nad którą nie tak łatwo było przejść do porządku dziennego.

- Greg!

Pognała chodniczkiem, trudno jednak się biegło w tak niestosownym obuwiu. Kiedy omal nie runęła na ziemię, zsunęła klapki z nóg i przemieściła je na ręce, zaczęły więc służyć za oryginalne rękawiczki z plastikowych pasków.

Dopadła do drzwi sąsiada i rąbnęła w nie klapkiem. Choć uczyniła to dwukrotnie, skutek był żaden. Greg albo poszedł do łóżka, albo spojrzął w okno, zobaczył, że to ona i postanowił nie otwierać. Otworzył w chwili, gdy miała już zamiar się wycofać. Zapalił światło na werandzie i ukazał się oczom Marissy jako facet absolutnie powalający, nagi do pasa i z pytaniem w oczach.

Czy w tym momencie zebranie myśli i wyduszenie z siebie jakiegoś słowa było możliwe? W praktyce okazało się, że nie, choć było to trochę dziwne, nieraz przecież widziała Grega w spodenkach kąpielowych. Zawsze miała wtedy wielką ochotę go dotknąć, na szczęście udawało jej się siebie poskromić. A teraz gapiła się w niego jak sroka w gnat i była o krok, żeby tej chęci ulec.

- Może mi wytłumaczysz, co to było?! - spytała w końcu, starając się ze wszystkich sił umknąć wzrokiem od tych płatów mięśni, większych i mniejszych, na męskiej piersi i brzuchu.

Oparł się łokciem o framugę drzwi.

- Nie zorientowałaś się, że to był pocałunek? Stanowczo zbyt długo nie chodzisz na randki.

Sfrustrowany, zjadliwy facet. Ale świetny.

- Bardzo zabawne! Oczywiście, że wiem, co to było, nie wiem tylko, co to miało oznaczać. I wcale mi się nie spodobało, że potem po prostu zwiąłeś.

- Hm... - Powoli przeczesał ręką włosy. - Mogę ci powiedzieć tylko jedno. Po prostu zrobiłem to, na co od dawna miałem ochotę. Prawdę mówiąc, od wielu miesięcy, ale dopiero dziś wieczorem miałem ku temu okazję. A zwałem, bo... - powoli przeniósł ciężar ciała na drugą nogę - bo gdybym tego nie zrobił, wylądowalibyśmy w twojej sypialni.

Czemu ona absolutnie nie byłaby przeciwna.

- Och, naprawdę?

- Naprawdę, Marisso - potwierdził solennie.

Przez chwilę milczała, wreszcie stwierdziła błyskotliwie:

- Aha. No dobrze.

- Tylko tyle jesteś w stanie powiedzieć? Stuknęła klapkami jak wytresowana foka, która bije brawo turystom.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Więc zastanów się. Ja też to zrobię. Całą noc będę myślał, bo mam o czym. O tobie, o nas, o tym, co moglibyśmy jeszcze robić oprócz całowania.

Powiedział to półgłosem. Każde słowo było nadzwyczaj kuszące. Marissa bliska była wypowiedzenia sugestii, że może zrobiliby to jeszcze dziś wieczorem, na szczęście zachowała resztki zdrowego rozsądku.

Machnęła klapkiem w stronę swego domu.

- Idę już. Zobaczymy się jutro rano.

Udało jej się oderwać stopy od ziemi i skierować kroki ku swojej posesji. W połowie drogi przystanęła i zadarła głowę. Niebo było piękne, rozgwieżdżone, ani jednej chmurki. Huraganu ani widu, ani słyhu. Za to w jej duszy wicher już szalał.

Rzeczywiście, ten Greg nie mógł sobie wybrać lepszej chwili na podryw. Robi to właśnie teraz, żeby dostarczyć jej jeszcze jeden powód do rozmyślań. Czy zostać w Ocean Vista i wejść w związek, z którym nie wiązały się żadne gwarancje? Czy też przyjąć posadę, dzięki której będzie parła do przodu?

Parła jak taran, ale sama.

Przed iluś tam laty było inaczej. Też parła jak taran, kariera zawodowa posuwała się szybko do przodu, ale wcale nie była sama. Niestety, narzeczony nie potrafił zaakceptować jej decyzji o opiece nad chorym ojcem.

Bez cienia żalu zrezygnowała wtedy z wielu rzeczy. Przecież ojciec opiekował się nią najczulej od dnia jej narodzin.

Z biegiem czasu jednak zaczęła coraz częściej zastanawiać się, czy przypadkiem coś jej w życiu nie umyka. Coraz częściej marzyła o dzieciach, o mężu, który byłby jej partnerem na dobre i na złe.

Rzeczywistość była, jaka była, natomiast marzenia podążały swoim tropem. Ot, dylemat.

Niestety, los wcale się nie kwapił do jego rozwiązania.

A teraz?

Niestety, też się nie kwapił. Greg nie jest żadnym rozwiązaniem, bo do zaoferowania ma tylko seks. Oczywiście miło usłyszeć, że facet cię chce, ale Marissa pragnęła czegoś więcej, czyli lepiej Gregiem nie zawracać sobie głowy i postawić na karierę zawodową.

Mimo że w jej wykazie „za” i „przeciw” jedno olbrzymie „za”, pisane dużą literą, dotyczyło właśnie Grega Westbrooka.

Długo stał pod prysznicem z nadzieją, że strugi wody przejaśnią zamęt w jego głowie i uspokoją ciało. Niestety nie zadziałało. Nadal odczuwał skutki tego jednego pocałunku. Zastanawiał się nawet, czy nie przebiec się kawałek, przypuszczał jednak, że nawet maraton by nie pomógł.

Był do tego stopnia nieprzytomny, że po wyjściu z łazienki skierował swoje kroki w stronę pokoju Jen. Chciał powiedzieć jej dobranoc. Po drodze przypomniał sobie, że przecież wyjechała, ale i tak wszedł do jej pokoju. Postał sobie chwilę, potem zaczął oglądać koszykarskie trofea córki, ustawione na półkach w równych rzędach jak złożone żołnierzyki, a także bukiety, które przypinała do sukienki, kiedy szła do szkoły na potańcówkę. Teraz, zasuszone, przypięte były szpilkami do korkowej tablicy.

Na komodzie stało kilka fotografii w ramkach. Greg podszedł bliżej.

Pierwszy dzień w przedszkolu Jen, który, niestety, mu umknął.

Skończył college i dopiero zaczął studia medyczne, jego dyżur w szpitalu trwał trzydzieści sześć godzin. Mistrzostwa softballu. Jen miała wtedy dwanaście lat. Greg znowu nie mógł jej podziwiać, bo właśnie kończył specjalizację i prawie mieszkał w szpitalu. Ale nie zawsze było tak źle. Był na jej szesnastych urodzinach, czekał na nią, kiedy wróciła z pierwszej randki, i to on uczył ją jazdy samochodem. Świadectwo ukończenia szkoły średniej, dumnie rozpięte na ścianie, przypominało mu, że jego córka wkrótce wyfrunie z domu. Ten fakt

jeszcze bardziej pogłębiał jego poczucie osamotnienia. Niestety, niczego nie można było zmienić, zawrócić biegu czasu, po prostu Jen musi iść dalej przez swoje życie, bez ojca, nawet jeśli temu ojcu czasami zdaje się, że jego własne życie utknęło w martwym punkcie. Często sprawiał zawód swojej córce. Pod wieloma względami zawiódł też jej matkę, dlatego postanowił, że nigdy więcej nie zwiąże się na stałe z żadną kobietą. Przekonał się już, że się do tego nie nadaje. Dziś pocałował Marissę, ona chyba też znalazła w tym przyjemność. I co z tego, sama przyjemność odczuwana w fizycznym kontakcie nie wystarczy, żeby zbudować mocne fundamenty pod solidny związek, ludzi, którzy mają różne cele. Owszem, zdawał sobie sprawę, że to coś, co go ciągnie do ślicznej sąsiadki, nie jest tylko zwykłym pożądaniem, ale co z tego? Swoją pracą, tym, że nie kontentował się byle czym i skutecznie walczył o karierę, sprawił, że Beverly nie mogła zrealizować swoich marzeń. Jeśli Marissa chce wyjechać, niech jedzie. Prośenie jej, żeby została, byłoby z jego strony zwykłym egoizmem.

Pokręcił się po pokoju jeszcze chwilę i wyszedł na werandę. Tu zawsze uciekała Jen, kiedy chciała spokojnie nagadać się przez telefon z przyjaciółką albo z jakimś chłopakiem. Usiadł na huśtawce ogrodowej, łokcie oparł na kolanach, w jednej dłoni kołysała się puszka piwa.

Nagle uzmysłowił sobie, że z tej werandy przed pokojem Jen widać dom Marissy, a za tamtym oknem, o ile się orientował, była jej sypialnia. Jedyne pokój w jej domu, którego jeszcze nie widział, chociaż tyle razy korciło go, żeby tam zajrzeć, na przykład kiedy chodził karmić tę okropną papugę. Naturalnie, że tego nie zrobił z szacunku dla prywatności Marissy.

Lecz w tej chwili nie miał zamiaru niczego uszanować. Nie odrywał wzroku od rzeczoności okna. Zasłony były rozsunięte. Duża stojąca lampa oświetlała podwójne łóżko, przykryte narzutą w lamparcie cętki.

A niech to... Gdyby nie zwiął do swojego domu, teraz by się tarzali po tym łóżku jak dwie dzikie bestie, dwa lamparty, kocur i kocica...

Westchnął rozmarzony, oparł się wygodniej i rozkołysał huśtawkę. W przód i w tył, w przód i w tył. Wzrok miał wbity w jedno z okien sąsiedniego domu. Gapił się jak jakiś zboczeniec. A przecież nim nie był.

Drzwi łazienki otwały się. Do sypialni wmaszerowała Marissa owinięta w wielki kąpielowy ręcznik. Greg natychmiast przestał kołysać huśtawką. Zdawał sobie sprawę, że powinien stąd zniknąć, ale siedział, jakby tyłek przyrósł mu do tej huśtawki.

Marissa przysiadła na stołeczku i zaczęła się przeglądać w lusterku ustawionym na komodzie. Greg patrzył jak zahipnotyzowany.

Podglądał ją. Czyli jednak był zboczeńcem.

Pochylił się do przodu, żeby widzieć jeszcze lepiej. Marissa wytarła głowę końcem ręcznika, potem wzięła szczotkę i kilkoma posuwistymi ruchami przeczesła włosy. Wstała, oparła jedną stopę o stółek i zaczęła wcierać w nogę balsam. Ręcznik z przodu trochę się rozchylił, nie przekroczył jednak granicy przyzwoitości, tak więc wszystko, co najbardziej godne obejrzenia, nadal pozostało zakryte. Chwała Bogu, bo Greg nie ręczył za siebie. Już i tak cierpiał męki, że to nie on wciera w Marissę balsam. Ale gapił się dalej.

Czyli nie tylko zboczeniec, ale także masochista.

Marissa zwróciła twarz ku oknu. Pewnie coś wyczuła, poczuła się nieswojo. To przez niego, przez ten jego palący, zboczony wzrok. Zaniepokoił się. A jeśli zauważy go w tych ciemnościach? A jeśli zaciągnie zasłony?

Lecz nawet ich nie tknęła, tylko zrobiła coś innego. Sprawiała mianowicie, że ręcznik opadł na podłogę. Nawet w skąpym świetle jednej lampy zarys jej zgrabnego ciała był doskonale widoczny.

Przeważały linie opływowe.

Nie spiesząc się, sięgnęła po koszulę nocną, włożyła ją przez głowę i obciągnęła na biodrach. Teraz była już jako tako ubrana, ale jej ciało nic na tym nie straciło, tym bardziej że Greg już je sobie pooglądał.

Wsunęła się pod kołdrę, po chwili wstała. Zanim zgasiła światło, na moment spojrziała w okno. Oczy były zwrócone dokładnie w jego stronę. Twarz drgnęła, jakby przemknął po niej uśmiech.

Do cholery! A może ona wie, że on tu jest?!

Więc po co to całe przedstawienie? Może chciała ukarać go za jego zachowanie? Ukarać? Zbyt delikatne określenie. Zafundowała mu najgorsze męki, jakich może doznać mężczyzna.

Męki, na które jak najbardziej zasłużył.

Ostry dźwięk sygnału alarmowego poderwał Grega z sofy. Najpierw spojrział na zegarek - była piąta rano - a potem skupił wzrok na telewizorze. Na ostrzeżeniu widniejącym na całym ekranie.

Huragan przemieszcza się w kierunku Panama City, a to przecież nie więcej niż dwadzieścia kilometrów stąd! Nabiera prędkości, synoptycy przewidują, że do tych rejonów Florydy dotrze za jakieś cztery godziny.

Błyskawicznie wciągnął T-shirt i wepchnął stopy do adidasów. Jak to dobrze, że jeszcze nie oddał Marissie jej klucza. Nie chciał dzwonić, wolał tę dramatyczną wiadomość przekazać osobiście i jak najszybciej odwiedzić Marissę do schronu, czyli do szkoły, budynku o specjalnej konstrukcji, umożliwiającej przetrwanie najgorszego kataklizmu. Kiedy przekraczał próg, dwa krótkie słowa na moment przymurowały go do podłogi.

Kategoria czwarta (Wg skali Saffira-Simpsona, klasyfikującej huragany według rosnącej siły wiatru. Obejmuje 5 kategorii. Prędkość wiatru huraganu kat. 4 wynosi 59-69 m/sek., czyli 212-248 km/godz.).

- Marisso, obudź się. Musimy się zbierać.

Natychmiast usiadła na łóżku, prosto jak świeca, jedną ręką przyciskając do piersi koldrę. Drugą odgarnęła włosy z twarzy, a potem pomyślała, że jej sen się ziścił. Koło jej łóżka stał Greg ubrany w czarny T-shirt i stare dżinsy.

Naprawdę tu jest. Tylko dlaczego ma taką ponurą minę? Jakby dźwigał na swoich barkach losy całego świata...

Paniczny strach wypędził błyskawicznie resztki snu.

- Greg? Czy to...

- Tak. Huragan. Przeszedł nad zatoką, tam nabrał siły i szybkości.

Teraz idzie na nas. Kategoria czwarta.

Mogła się tego spodziewać, spodziewali się przecież tego wszyscy, ale teraz, kiedy znikły ostatnie wątpliwości, była bliska paniki.

- Co... co my teraz zrobimy, Greg?

- Spakuj trochę rzeczy. Odwiozę cię do schronu w szkole.

- A co z moim domem, Greg? Nie mogę go tak przecież zostawić.

- Z twoim domem niewiele da się zrobić. Sprawdzałem już w garażu, są tam jakieś kawałki sklejki, ale za mało, żeby zabić okna.

Wykorzystam, co się da, resztę okien można pozaklejać taśmą, a także poprzesuwać niektóre meble i zakręcić gaz. Ale tym zajmę się później. Teraz cię odwiozę do schronu, potem pojedę do kliniki.

Muszę ją jakoś zabezpieczyć, a także wziąć jeszcze trochę leków i środków opatrunkowych.

- Greg! A ty nie zostaniesz w schronie?

- Nie.
- To ja też tam nie jadę.
- Co?!

Po raz pierwszy zobaczyła w oczach doktora Westbrooka gniew.

- Zostanę w swoim domu. Wytrzymał już kilka wichur, teraz też da radę.

- Nie wiadomo, Marisso. Pamiętaj, że z każdym dniem ten dom jest coraz starszy i mniej wytrzymały.

- Tak, ale przecież nie mogę zabrać Baby do zatłoczonego schronu. Będzie wszystkich denerwować. Poza tym nie wiem, czy w ogóle wolno ją tam zabrać.

- Dobrze, Marisso. Wezmę to ptaszysko do siebie.

- W takim razie mnie też. W tak ciężkiej chwili nie opuszczę mojej Baby. Ona tego nie przeżyje. Weź nas obie. Przecież zostajesz, a więc jesteś pewien, że twój dom jest bezpieczny.

Greg milczał, mieniając się na twarzy.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - W takim razie biorę już ptaka do siebie i jadę do kliniki. Spakuj się. Jak wrócę, zabieram cię do mojego schronu. Wstawaj, Marisso... - Zebrał jej ubrania położone na sekretarzyku i rzucił na łóżko. - Ubieraj się. Nie zapomnij napełnić wanny, bo potem mogą na jakiś czas zakręcić wodę. Rzeczy weź jak najmniej, tylko te, bez których nie możesz się obejść, jasne?

Jego surowy ton drażnił ją, tym bardziej że cała w. środku trzęsła się ze strachu.

- Tak jest, panie kapitanie! - Zasalutowała. Greg westchnął, przysiadł na łóżku i wziął ją za rękę.

- Sytuacja naprawdę jest poważna, Marisso.

Trzeba się śpieszyć.

- Myślisz, że to do mnie nie dociera? Po prostu jestem przerażona.

Och, Greg... - Szerokim gestem wskazała na pokój. - Tak się boję, że to wszystko stracę. Każda rzecz ma dla mnie ogromne znaczenie, rozumiesz... - Naturalnie dotyczyło to również jego.

Przyciągnął ją do siebie i uściśnął, nie zdając sobie sprawy, ile ten gest dla niej znaczył.

- Przeżyjemy, Marisso. Możesz na mnie liczyć. Zrobię wszystko, żeby tak właśnie się stało.

ROZDZIAŁ TRZECI

Marissa nie miała pojęcia, co ze sobą zabrać, a co zostawić. Miała mnóstwo pamiątek, niektóre z nich już wieczorem pochowała do reklamówek. W końcu zdecydowała, że weźmie tylko kilka rzeczy, przede wszystkim album, w którym udokumentowane było prawie całe jej życie. Notebook oczywiście też, bo miała w nim wszystkie firmowe pliki i kontakty. Musi go wziąć, nawet jeśli kopie ma Susan. Szczęściara, mieszka sobie w Arizonie, której nie nawiedzają żadne huragany. Nic dziwnego, że ten odległy stan wydawał się Marissie miejscem wyjątkowo pociągającym.

Wrzuciła do torby kilka T-shirtów, szorty, dżinsy i trochę bielizny. Niby niewiele, a i tak nie mogła dociągnąć zamka. Na przepakowywanie nie było jednak już czasu.

Nagle usłyszała za oknem złowrogi szum. Odwróciła głowę i struchlała. Była ósma rano, a na dworze ciemna szarość, jakby zapadał zmierzch. Niebo zakryły ciężkie chmury, na ziemię spadały pierwsze krople deszczu.

I ten wiatr, od razu groźny, nienawistny, niszczący. Miotał drzewami, jakby były z cieniutkich słomek.

Zadzwoił telefon. Chwyciła za słuchawkę i przez ułamek sekundy miała jeszcze głupią nadzieję, że to wszystko nieprawda. Huragan zrobił w tył zwrot i wrócił nad zatokę.

Greg nie bawił się w żadne uprzejmości.

- Podjeżdżam pod mój dom. Bierz rzeczy i wychodź. Spotkamy się pod drzwiami od frontu. Pospiesz się.

- Do... dobrze. - Oddychała z trudem, nogi nie chciały oderwać się od ziemi, ale trwało to tylko sekundę, bo instynkt samozachowawczy natychmiast dał kopa. Już była gotowa. W jednym ręku torba, w drugim podręczny komputer, pod pachą kudłaty pluszowy piesek o imieniu Egbert, którego miała od piątego roku życia.

Wyszła na werandę dokładnie w chwili, kiedy Greg wprowadzał swego lincolna navigatora na podjazd. Drzwi nie musiała zamykać za sobą, bo zrobił to wiatr, i to z wielkim hukiem. Omal nie wyrwał ich z zawiasów. Pomyślała, że skoro tak, to nie musi ich zamykać na klucz. A jeśli jakiś menel przyjdzie tu kraść, będzie musiał zadowolić się tylko telewizorem albo odtwarzaczem DVD. To, co posiadała Marissa, w oczach innych na pewno nie przedstawiało zbyt wielkiej wartości.

Z ogromnym trudem zaczęła posuwać się do przodu. Wiatr napierał na nią, smagał z taką siłą, że rozwiane włosy po prostu były ją po twarzy. Widziała Grega, miał na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy i właśnie wchodził na werandę.

Nagle zabolalo. Coś uderzyło ją w twarz. Coś, co niósł ze sobą ten przeklęty wicher. Upuściła Egberta na ziemię, a kiedy nachyliła się, żeby go podnieść, torba i komputer wysunęły jej się z rąk. Wszystkie ubrania znalazły się na ziemi. Marissa najchętniej przysiadłaby obok swoich szmatek i zalała się rzewnymi łzami, załkała, żeby jakiś dobry wujek przyszedł jej z pomocą. Albo po prostu by sobie popłakać.

Dobry wujek zjawiał się, przybrawszy postać doktora Westbrooka. Greg zebrał szybko jej rzeczy, pomógł wstać i trzymając mocno za łokieć, poprowadził do domu. Przeszli przez hol, potem nieznanym Marissie korytarzem.

Greg otworzył ostatnie drzwi.

- Proszę.

W pokoju, do którego weszli, stały proste meble i olbrzymie łóżko, nakryte brązową zamszową narzutą. Bez wątplenia była to sypialnia Grega. Marissa zdążyła rzucić tylko na nią okiem, kiedy usłyszała nowe polecenie:

- Wchodź.

Greg stał przy otwartych już stalowych drzwiach z kilkoma zamkami i ciężką zasuwą. Kiedy weszła do środka, poczuła się, jakby znalazła się w skarbcu jakiegoś banku. Pomieszczenie nie było duże, ot, jak dwie garderoby. Oprócz aneksu kuchennego, czyli niewielkiej szafki z kilkoma szufladami, małym zlewozmywakiem i lodówką, jedynym sprzętem był podwójny materac zasłany białą, zwyczajną pościelą.

Żadnych mebli. Pod ścianą stało w równym szeregu kilka kartonów.

Jedynym oświetleniem były lampki, wmontowane do dwóch przenośnych wiatraków. W tym nikłym blasku ściany w kolorze platyny wyglądały niesamowicie. Na szczęście Marissa nie miała skłonności do klaustrofobii, w przeciwnym bowiem wypadku, kiedy Greg zamknął drzwi, potrzebowałaby pilnie hiperwentylacji płuc.

Odgłos zamykających się samoczynnie zamków odbił się głuchym echem po tym metalowym grobowcu. Zaraz potem uwagę Marissy zwróciło uporczywe skrzeczenie. Wiadomo, czyje. Błysk złota na tle srebrzystej ściany świadczył, że stoi tam klatka z Baby.

Uklęła przed nią, wsadziła palec między pręty i pogłaskała swoją ulubienicę po czółku.

- Cześć, Baby.

Papuga znów zaskrzeczała cichutko, niewątpliwie był to wyraz największego niezadowolenia.

- Ja wiem, Baby, ja wiem, że wcale ci się tu nie podoba. Przede wszystkim to, że twoja klatka stoi na podłodze. Ale tak musi być, niestety, jeśli chcesz ocalić swoje piórka.

- Marisso... - Greg podał jej ręcznik, wielki męski T-shirt i szorty. - Masz wszystko mokre. Przebierz się. Myślę, że jako tako będzie na ciebie pasowało.

Powiedzmy. Greg na pewno nosił rozmiar XXL, a ona z trudem M, czyli może być interesująco. Ale co tam, w końcu to nie pokaz mody. Najważniejsze, żeby przetrwać.

Kiedy Greg odwrócił się, ściągnęła przez głowę niebieski, mokrusieńki T-shirt i równie przemoczone białe szorty. Wytarła się porządnie ręcznikiem. Bielizna była tylko trochę wilgotna, a więc bez przesady, można w niej zostać. Ubranie doktora Westbrooka było oczywiście o wiele za duże, zwłaszcza czarne dżersejowe szorty. Mimo że ściągnęła sznurki maksymalnie, i tak zsuwały się z bioder. Nie miało to jednak większego znaczenia, przecież biały T-shirt sięgał jej do połowy uda.

Przebrała się, znów chwyciła za ręcznik i zaczęła wycierać głowę.

- A co ty tam masz? - spytała, widząc, że Greg wkłada do lodówki kilka fiolek.

- Przede wszystkim insulinę. Zabrałem z kliniki trochę najpotrzebniejszych lekarstw, poza tym mam tu też zapas żywności. Co jakiś czas go wymieniam, chodzi o terminy ważności. Niestety, kilku rzeczy brakuje. Wczoraj wieczorem powinienem był się tym zająć, ale.. ale jakoś nie miałem do tego głowy. - Uśmiechnął się nieco zażenowany.

Oczywiście Marissa pojęła aluzję i też się uśmiechnęła.

- Rozumiem. Podobało ci się małe show, które oglądałeś z werandy Jen?

- Bardzo.

- Ładna dziewczynka - zaskrzeczała Baby.

- Nie mogę się z tym nie zgodzić - oświadczył. - Marisso, przepraszam, to był czysty przypadek. Nie skojarzyłem, że z werandy Jen można zobaczyć, co dzieje się w twoim pokoju.

Trudno było jej jakoś w to uwierzyć, ale nie oponowała. Poza tym nie powinna krytykować Grega, skoro wczoraj sama podglądała go przez dziurę w płocie i, co więcej, z własnej nieprzymuszonej woli odegrała to malutkie show. A stworzyła ten spektakl, ponieważ nie miała nic przeciwko temu, żeby Greg się na nią gapił. Potem była tym wszystkim tak nieludzko podniecona, że nie spała prawie całą noc, kiedy tak naprawdę powinna przejmować się tylko nadciągającym huraganem.

- Oczywiście, że można - powiedziała. - Jen i ja regularnie prowadzimy ze sobą długie wieczorne rozmowy. Ona na werandzie, ja w oknie. Przede wszystkim obgadujemy znajomych. Rozumiesz, kto sprawił sobie nową sztuczną szczękę, kto oszukuje przy brydżu i tak dalej.

- Nie wiedziałem o tym... Marisso, a co ty masz na czole? Dziwne, że w ogóle o tym zapomniała.

- To? Coś uderzyło mnie w głowę, nawet nie wiem co. Już mnie tak bardzo nie boli.

Odgarnął jej włosy z czoła i przyjrzał się ranie.

- Czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat robiono ci zastrzyk przeciwężcowy?

- Kiedyś tak, ale dawno, nie pamiętam dokładnie, kiedy.

- W takim razie trzeba będzie zrobić. - Otworzył jedną z szuflad i wyjął strzykawkę.

Och nie! Tylko nie to! Jaka głupia była, że nie skłamała!

- Jak to miło być przetrzymywaną w jakiejś norze przez doktora wymachującego strzykawką

- powiedziała, siląc się na dowcip, choć na sam widok tej strzykawki dostawała gęsiej skórki.

- Gdzie będziesz mnie kłuł?

Podwinął rękaw jej T-shirta.

- Tutaj.

Naturalnie nie patrzyła, kiedy robił zastrzyk, lecz ku swemu największemu zdumieniu prawie nic nie poczuła.

- Jest pan w tym dobry, doktorze Westbrook.

- Dziękuję. Ale teraz na pewno trochę poszczypie.

Z drugiej szuflady wyjął tubkę, wycisnął z niej maść na gazik i delikatnie przyłożył do rany. Miał rację. Szczypało jak diabli, ale dzielna pacjentka nie mrugnęła nawet okiem.

Kiedy rana została opatrzona, Marissa opadła na materac, tuląc do siebie biednego, zmokniętego Egberta. A na dworze szalał żywioł. Solidny, kamienny dom wydawał z siebie przytłumione jęki, jakby protestował przeciwko nagłej inwazji. Wsłuchana w złowrogie dźwięki, zastanawiała się w duchu, co dzieje się teraz z pozostałymi mieszkańcami Ocean Vista. Czy są bezpieczni, czy straszliwa wichura nie zniszczyła ich domów... i co dzieje się z jej ukochanym domem? Jeśli ucierpiał, jest w tym dużo jej winy. Teraz gorzko żałowała, że zwlekała z modernizacją. Nowy dach na pewno by się przydał, tak samo wbudowanie kilku nowych stężni pod krokwiemi i załatwienie dziur w drewnianych ścianach. Ale cóż, zawsze jej się wydawało, że można to odłożyć na później. Po prostu była głupia.

Greg pozamykał w końcu szuflady i wygodnie ułożył się obok niej, oczywiście w przyzwoitej odległości.

- Skąd masz tego potworka? - Poglaskał po kudłatym łbie pluszowego pieska.

- Nazywa się Egbert. Tata go wygrał podczas jakiegoś festynu w czasie karnawału i mi podarował. Miałam wtedy pięć lat. Od tamtego czasu Egbert jest zawsze ze mną.

- Z ojcem łączy cię wiele dobrych wspomnień.

- Mnóstwo cudownych wspomnień. Pomagały mi przetrwać ten najtrudniejszy okres.

- Kiedy umierał? Rozumiem, co przeszłaś. ALS (ALS - choroba układu nerwowego, polegająca na systematycznym pogarszaniu się sprawności ruchowej. Prowadzi do całkowitego paraliżu i zgonu, spowodowanego zatrzymaniem pracy mięśni oddechowych. Zwana również chorobą Lou Gehriga, dla upamiętnienia słynnego bejsbolisty, który zmarł na ALS w 1941 r.) to jedna z najgorszych chorób i w leczeniu, i w opiece nad pacjentem.

- Nie było łatwo.

- Czy w waszej rodzinie ktoś jeszcze na to chorował?

- Nie. Kiedy postawiono diagnozę, ojciec, żebym się nie martwiła, przeświecił całą rodzinę ileś pokoleń wstecz. Nie znalazł nikogo, kto by miał ALS. Wszyscy umierali po prostu ze starości, w bardzo podeszłym wieku.

- Czyli prawdopodobieństwo, że odziedziczysz po ojcu tę chorobę, jest niewielkie.

No cóż... można powiedzieć, że to jedyne szczęście w tym nieszczęściu...

- Ojciec był bardzo dzielny. Przez pięć lat skutecznie walczył z chorobą, ale potem jego stan bardzo się pogorszył. Staralam się być jak najwięcej z nim, dlatego zaczęłam pracować w domu. Kupiłam też Baby, żeby podczas mojej nieobecności dotrzymywała ojcu towarzystwa i mówiła do niego, kiedy on już nie mógł mówić.

Dlatego, między innymi, bardzo kocham moją Baby.

Greg uśmiechnął się ciepło, by dodać jej otuchy.

- Na szczęście wtedy jeszcze Baby nie umiała powiedzieć, że Greg jest supergościem.

- Fakt.

Odwzajemniła uśmiech, ale wciąż czuła tę znajomą grudkę w gardle. Smutek i to przytłaczające poczucie własnej bezradności, kiedy czuwała przy ojcu dzień i noc, wiedząc, że to już tylko czekanie na nieuchronny koniec.

- Najgorsze ze wszystkiego było to, że ojciec doskonale wiedział, co z nim się dzieje. Często zastanawiałam się, czy się boi. Nie wiem, przecież nie mógł już mówić.

Greg pogłaskał ją po ramieniu.

- Dobra z ciebie córka, Marisso. Byłaś przy swoim ojcu cały czas, a to dla niego było najważniejsze. A co z twoją matką?

- Umarła przy porodzie z powodu tętniaka. Tata sam mnie wychował. Wielka sława naukowa, wybitny historyk profesor Walt Klein, a dla mnie po prostu ukochany tata.

- Nie ożenił się po raz drugi?

- Nie. Zawsze mówił, że taka miłość, jaka łączyła go z mamą, zdarza się tylko raz, co wcale nie znaczy, że nie był człowiekiem towarzyskim. Potrafił oczarować kobietę. Tak jak ty.

- Przesadzasz - obruszył się Greg. - Nigdy nie uważałem się za jakiegoś specjalnie urokliwego faceta.

- To jeszcze jeden twój plus.

- Jesteś bardzo miła, Marisso. Dziękuję. Po tym, co się wczoraj wydarzyło...

Faktycznie, wiele można by tu opowiadać. Najpierw pocałunek, potem podglądanie. W rezultacie ona prawie całą noc zastanawiała

się, jak by to było, gdyby przekroczyli pewną granicę. Po prostu poszli na całość...

Zarumieniła się. Podniosła rękę i zaczęła się wachlować.

- Gorąco. Jesteś pewien, że wystarczy nam powietrza?

Wskazał na kilka otworów wentylacyjnych.

- Wystarczy. Mamy tutaj pasywny przepływ powietrza, więc nie jesteśmy uzależnieni od żadnego źródła mocy. Jeśli wysiądzie elektryczność, nic się nie stanie...

Nagle gdzieś z dworu dobiegł huk, potem żałosne wycie. Baby zatrzepotała skrzydłami i wydała z siebie głośny skrzek.

- Greg... - wyszeptała przerażona Marissa. - Co to było?

Wziął ją za rękę, lekko pogłaskał kciukiem jej nadgarstek.

- Huragan Eden oznajmia nam o swoim definitywnym przybyciu.

Czyli definitywnie trzeba swoje myśli zająć czymś innym.

- A co masz w tych kartonach, Greg?

- Głównie rzeczy Jen i trochę zdjęć.

- Zdjęcia? Świetnie. Pooglądamy sobie. Ty pokażesz mi swoje, ja pokażę ci moje.

W rezultacie przez dwie bite godziny siedzieli naprzeciwko siebie, opowiadając zabawne historie z dzieciństwa. Wracali we wspomnieniach do dawnych lat, z małą przerwą, kiedy słuchali, jak spiker w radiu na baterie przekazywał to, co już wiedzieli. Huragan Eden uderzył na Florydę i niszczył wszystko, co napotkał po drodze. Działał bezlitośnie, jakby dokonywał jakiejś potwornej zemsty.

Wysłuchali spikera i natychmiast wrócili do swoich wspomnień. Greg wyciągał z kartonów skarby Jen, opowiadając związane z nimi historie, Marissa demonstrowała mu swoje pamiątki, a Baby, jakby zarażona tym melancholijnym nastrojem, zanuciła skrzekliwym głosem znaną pijacką piosenkę:

- Dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na murku...

- Marisso! Czy ona nie zna innych piosenek?

- Nie, ale na szczęście nie potrafi liczyć do dziewięćdziesięciu dziewięciu. - Wstała i zarzuciła ręcznik na klatkę. - Dobranoc, Baby. Spij słodko.

Jakby biedny ptak mógł zasnąć przy tej całej kakofonii złowrogich odgłosów dobiegających z zewnątrz.

Marissa wróciła na materac i wyciągnęła z torby ostatnią rzecz, którą chciała pokazać. Był to podniszczony album w czarnej oprawie.

Ułożyła go sobie na kolanach i otworzyła. Na początku było zdjęcie ślubne rodziców. Matka w białych koronkach, ojciec w czarnym garniturze. W spojrzeniu obojga totalna miłość.

- Spójrz, Greg. To moi rodzice.

- Piękna para. Teraz wiem, po kim odziedziczyłaś urodę.

- Och, przestań! Na pewno mówisz to każdej dziewczynie, którą zaprosisz do swojego schronu!

- Jedyłą kobietą, która tu weszła, była Jen. Stało się to podczas ostatniego sztormu.

Bardzo pożądana wiadomość. Już sama myśl, że Greg mógłby tu przyprowadzać Sophie na szybki numerek na tym właśnie materacu, przyprowadzała Marissę o białą furję.

- Proszę. Na tym zdjęciu mam dwanaście lat, właśnie założyli mi aparat na zęby. Poza tym, jak sam widzisz, ojciec i ja zawsze kochaliśmy zwierzęta.

- Dwa koty i pies. Spory inwentarz. Wskazała na tłustego burego kota w prążki, rozłożonego na kolanach ojca.

- To lord Farley, nazwany tak na cześć jednego z kolegów ojca. A ten drugi to Kolejarz, syjamski arystokrata, który nieco pobłądził, bo znaleźliśmy go przy torach. A piesek, kundelek, nazywał się Toe Jam.

- Toe Jam? Jak ten przybysz z innej planety z jakiejś gry komputerowej? Nie wystarczyło, że pluszowego pieska nazwałaś starym królewskim imieniem (Egbert, król Anglii w latach 829-830)?

- No cóż... Ojciec starał się mnie ukształtować na człowieka kreatywnego. Poza tym uważaliśmy, że te imiona pasują do naszych pupilów.

- Uśmiechnęła się smutno i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zdjęcie. - Wszyscy odeszli.

- Wszyscy. Tylko ona została.

- Niestety, takie jest życie, Marisso. Składa się również z rozstań.

- Wiem... No, koniec już z tymi zdjęciami. Nie będę więcej pokazywać, bo zanudzisz się na śmierć.

- Wcale mnie nie zanudzisz. Pokaż mi wszystkie zdjęcia.

Co uczyniła, wiadomo, bardzo chętnie. Greg przysunął się bliżej i Marissa, przewracając jedną kartkę za drugą, pokazała mu nie tylko zdjęcia, lecz i różne pamiątki dokumentujące poszczególne etapy jej

życia, od programu popisu tanecznego po rozmaite pocztówki. Ale kiedy pokazało się to jedno szczególne zdjęcie, szybko przewróciła kartkę.

Greg odwrócił ją z powrotem.

- Kto to jest?

- To... to jest Brian, mój były chłopak. - Powiedziała to takim głosem, jakby właśnie wypła całą butelkę octu.

- Ktoś ważny w twoim życiu? - spytał Greg. Przez chwilę wpatrywał się w fotkę zrobioną

podczas jazdy na nartach. Ona i Brian. Co takiego w nim widziała? Powinna była dawno wyrzucić to zdjęcie.

- Kiedyś może i był, bo ja byłam jeszcze bardzo młoda i głupia.

- Zabrzmiało to gorzko.

- Wiesz co? Skończmy już z tą historią mojego życia. - Zamknęła szybko album, żeby Greg przypadkiem nie zaczął zadawać pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać. Pytania, które zupełnie niepotrzebnie obudziłyby bolesne wspomnienia.

Na dworze coś załomotało.

- Cholera... - mruknął Greg.

- Co to?

- Wicher załatwił mi żaluzje albo coś trafiło w klimatyzację. Ale teraz i tak nic nie da się z tym zrobić.

Boże... Jeśli wicher jest w stanie demolować twierdzę doktora

Westbrooka, to co dopiero wyprawia z domem Marissy...

Wyciągnął się na materacu i podłożył ręce pod głowę.

- Greg, jak możesz być taki spokojny? - Niczym tarczę przycisnęła album do piersi. - Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżywałam.

Strasznie się boję.

Klepnął w materac obok siebie.

- Kładź się. Spróbuj się zrelaksować.

- Zrelaksować? - Teraz, kiedy miała wrażenie, że cały świat dookoła za chwilę rozpadnie się na kawałki ?

Ale ten silny i pewny siebie mężczyzna dodawał jednak otuchy. I Marissa, nie zastanawiając się dłużej, odłożyła album i wyciągnęła się na materacu obok tego silnego mężczyzny.

- Greg, powiedz, czy istnieje niebezpieczeństwo, że zawali się dach?

- Ależ skąd! Dach w tym domu przetrzyma największy huragan.

- Szkoda, że ja nie wprowadziłam u siebie żadnych ulepszeń - stwierdziła z westchnieniem.
- Nic straconego, możesz to zrobić.
- Tak. O ile mój dom jeszcze stoi!
- Marisso! - Pogłaskał ją po policzku. - Nie martw się. Kiedyś, w Miami, miałem dom starszy od twojego, a wytrzymał naprawdę porządny huragan.
- Naprawdę?
- Naprawdę.
- Och, to cudownie. A dlaczego przeprowadziłeś się z Miami do Ocean Vista?
- Dlaczego? No cóż... - Spojrzał w sufit. - To była ostatnia próba ratowania mojego małżeństwa.
- Ale nie pomogło...
- Było już za późno. Moja praca zawsze stanowiła problem, dlatego zdecydowałem się odejść z oddziału chirurgii urazowej. Zostawiłem szpital i przyjechaliśmy tutaj, lecz oprócz szpitala powinniśmy byli jeszcze coś pozostawić za sobą. Dokładniej - kogoś.
- Greg! Czy ty... czy zdradzałeś swoją żonę?!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Żałował gorzko, że zaczął ten temat. Sama myśl o tym była dla niego nienawistna, a co dopiero rozmowa. Poza tym wcale nie był pewien, czy chce, by Marissa poznała prawdę. Ale męska duma przeszkadzała w jego poprzednich związkach, a ponieważ w jego relacjach z Marissą kryło się wiele możliwości - zakładając, że jednak ona nie wyjedzie - prawda była bardzo ważna.

- Beverly mnie zdradzała. Szczerze mówiąc, wcale jej za to nie winię.

- Gdy milczała długą chwilę, dodał: - Myślę, że jesteś tym bardziej zszokowana niż huraganem. - Powiedział jej już dużo, ale nagle zapragnął powiedzieć jeszcze więcej. - Bev i ja pobraliśmy zdecydowanie za wcześnie. Chodziliśmy ze sobą kilka miesięcy. Kiedy byłem dopiero w połowie studiów i po kilku piwach, Bev zaszła w ciążę. Postanowiłem, że zrobię to, co w tej sytuacji należy zrobić, jednak potem okazało się, że popełniłem błąd.

- Greg. - Odwróciła się do niego twarzą i oparła na łokciu. - Kochałeś ją?

Bardzo konkretne pytanie. To samo pytanie Beverly zadawała mu wiele razy.

- Tak, ale za mało, bo jednocześnie moja kariera zawodowa była dla mnie priorytetem. Studia medyczne, staże, specjalizacje... A Beverly ukończyła tylko szkołę i zajęła się wychowywaniem Jen. Naturalnie bywały też i dobre chwile, ale ja byłem opętany swoją pracą. Zapłaciła za to moja żona.

- Nigdy nie podjęła nauki?

- Zamierzała uczyć się dalej, kiedy Jen będzie starsza, ale zrobiłem drugą specjalizację i przeszedłem z pogotowia ratunkowego na chirurgię urazową. - Co bardzo źle wpłynęło na ich małżeństwo.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś chirurgiem! Dla mnie zawsze byłeś lekarzem rodzinnym.

- Zanim przeprowadziliśmy się do Ocean Vis-ta, byłem chirurgiem. Przeprowadzka do Ocean Vista. Miał być to nowy start, lecz okazał się końcem.

- Na pewno tęsknisz za operacjami.

- Czasami, ale przynajmniej przez te ostatnie lata lepiej poznałem swoją córkę. Czyli warto było z czegoś zrezygnować.

- Przykro mi, Greg, że twoje małżeństwo się rozpadło. Niestety, nie jesteście wyjątkiem. Wystarczy przyjrzeć się statystyce rozwodów.

- Wiem. Czy właśnie dlatego nigdy nie wyszłaś za mąż?
- Przed kilkoma laty omal tego nie zrobiłam. Byłam zaręczona.
- Z tym facetem ze zdjęcia?
- Tak. Ale to smutna historia.
- Opowiadaj.
- No dobrze... Pracowałam w agencji ogłoszeniowej w Bostonie. Tam go spotkałam. Oboje byliśmy młodzi, u progu kariery zawodowej, oboje odnosiliśmy sukcesy. Wydawało się, że pasujemy do siebie idealnie. Ale kiedy mój tata zachorował i postanowiłam wrócić do New Hampshire, żeby być blisko niego, okazało się, że Brian wcale nie zamierza opuszczać Bostonu. Musiałam dokonać wyboru. Albo nadal być z nim i zostawić ojca samego, albo zerwać zaręczyny. Wybrałam to drugie. Zdziwiające, jak wiele można dowiedzieć się o drugim człowieku w sytuacji kryzysowej. Tak naprawdę dopiero wtedy poznaje się go naprawdę.

Istotnie, ponieważ Greg teraz, podczas huraganu, dowiedział się o Marissie więcej niż w ciągu całej ich znajomości. Do tej chwili były to kontakty wprawdzie ciepłe, ale dość powierzchowne, bowiem oboje jak ognia unikali osobistych tematów. Lecz teraz to się zmieniło, i to zdecydowanie na korzyść, zdaniem Grega.

Pogłaskał ją po ramieniu.

- Nie był cię wart, Marisso.
- Może i tak. Dlatego po tej całej historii szybko doszłam do siebie. Chyba jednak nie, bo jej oczy posmutniały. Bardzo chciał ją pocieszyć, żeby przynajmniej na chwilę zapomniała o przykrych przejściach. Dlatego objął ją i pocałował. Oczywiście nad wyraz delikatnie, choć sam nie wiedział, jak długo stać go będzie na tę delikatność. Jen zawsze twierdziła, że podrywał Marissę od pierwszego dnia, kiedy przyszła do nich się przedstawić. Naturalnie gorąco temu zaprzeczał, ale był już zmęczony udawaniem, tymi nieustannymi próbami stłumienia w sobie prawdziwych uczuć.

- Daj mi to, złotko, daj!

Marissa natychmiast odsunęła się od Grega, składając w duchu podziękowania paskudnemu ptaszysku.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o spanie Baby. Opadł na poduszkę, zasłonił ramieniem twarz.
- Rzeczywiście. Wybrała sobie najodpowiedniejszą porę.
- Może zgasić światło? Wtedy ta przechera szybciej zaśnie.

Zgasić światło? Czemu nie? Było to absolutnie po myśli Grega.

- Dobry pomysł.

- Dobrze. To ja zgaszę.

Musiała przejść przez niego, co okazało się bardzo trudne. Ledwie powstrzymał się, żeby jej nie objąć i nie przyciągnąć do siebie, ale udało się. Ręce przycisnął do boków, zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, kiedy materac ugiął się na znak, że Marissa wróciła na swoje poprzednie miejsce.

- Jak tu ciemno! - powiedziała. - Niczego nie widzę.

Na zewnątrz wciąż szalała wichura. Nagle usłyszeli serię wybuchów, jakby ktoś rzucał petardy. Krzyknęła przerażona.

- To chyba transformatory - wyjaśnił Greg. - Przy takiej pogodzie mają prawo wybuchnąć. Marisso... - Pomacał ręką materac obok siebie i odnalazł w ciemnościach jej rękę. - Przysuń się do mnie.

Wsunął rękę pod jej plecy i przyciągnął ją do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu. Czuł delikatny zapach jej włosów i ciepły oddech na swojej szyi. Miał ją tak blisko przy sobie. Wyobrażał to sobie niezliczoną ilość razy, chociaż, naturalnie, w nieco innych warunkach. Znowu usłyszeli jakieś trzaski. Marissa zadrżała.

- Wszystko w porządku. - Poglaskał ją po głowie. - Tu jesteśmy bezpieczni. - Czuł, że się odprężyła, przynajmniej na chwilę. Czyli teraz była okazja, żeby wyznać prawdę, chociażby po to, by odwrócić uwagę Marissy od szalejącego żywiołu. - To z twojego powodu zerwałem z Sophie.

- Z mojego?! - krzyknęła zszokowana.

Jej zaskoczenie nie zdziwiło Grega, podobnie jak to, że bez wahania powiedział jej o Sophie.

- Za każdym razem, kiedy z nią byłem, myślałem o tobie, więc w mojej sypialni zrobiło się trochę za ciasno.

- Ale ja wcale...

- To nie twoja wina. Po prostu tak się stało. - Dał jej trochę czasu, żeby się otrząsnęła, i mówił dalej: - Pamiętasz ten dzień, kiedy graliśmy w basenie w siatkówkę?

- Tak, pamiętam. Graliśmy we czwórkę, ty, ja, Jen i Sophie.

- A nie zastanawiałaś się, dlaczego byłem w jednej drużynie z tobą, a nie z Sophie?

- Pomyślałam, że ma to coś wspólnego z jej wzrostem. Ty i Jen jesteście bardzo wysocy, a ja i Sophie nie. Dlatego ustaliliśmy taki skład, żeby szanse były równe. O ile pamiętam, sam tak powiedziałeś.
 - Jednak byłoby bardziej logiczne, gdybym grał w parze z Sophie, prawda?
 - Może i tak.
 - Prawdę mówiąc, chciałem, żebyś była blisko mnie, a nie gdzieś tam za siatką.
 - Och... Nie wiedziałam o tym. Rzeczywiście, teraz jedna rewelacja goniła drugą.
 - Pamiętasz, Marisso, jak w pewnym momencie, niby w żartach, walczyliśmy ze sobą o piłkę? A potem jakoś tak znieruchomieliśmy. I ja nagle wyszedłem z basenu?
 - Powiedziałeś, że już nie grasz, bo na dziś wystarczy.
 - To tylko słowa, a przyczyna była taka, że miałem wielką ochotę cię pocałować i bałem się, że w końcu to zrobię.
 - Nie miałam pojęcia...
- A może wtedy, w tamtym momencie, wołała tego nie widzieć?
- Sophie przejrzała mnie. Wieczorem zrobiła mi awanturę, ale wszystkiego się wyparłem. Potem napadła na mnie Jen. Powiedziała, że zauważyła, jak na ciebie patrzę. Nie zdawałem sobie sprawy, że to było takie oczywiste.
 - Czy Jen była zła?
 - Wprost przeciwnie. Była zła, że jeszcze nie zerwałem z Sophie. Mówiła, że postępuję bardzo głupio, bo już dawno powinienem zająć się tobą. „Tylko ślepy by nie zauważył, jak między wami iskrzy, i to od wielu miesięcy”, stwierdziła. Powiedziałem jej, że wcale nie wiadomo, czy czujesz to samo co ja. A ona na to, że jest tego pewna, chociaż na pewno do tego się nie przyznasz, dopóki na tapecie jest „ta nieszczęsna Sophie”, jak to delikatnie ujęła moja mała córeczka. - Marissa znów zaniemówiła na dłuższą chwilę, aż Greg zaczął się martwić, czy przypadkiem w swoich wyznaniach nie posunął się za daleko. - Marisso, przysięgam, wcale nie chcę wykorzystać obecnej sytuacji. Pomyślałem tylko, że powinienem wyznać ci, co czuję. Nie chcę już niczego ukrywać. Wciąż o tobie myślę.
 - Tak? Bo ja muszę przyznać, że...
 - Że co?
 - Ze też czasami... myślę o tobie.

- Czasami? Marissa westchnęła.
- No dobrze, często. Bardzo często. Pamiętam kiedyś... Och! - Nagle zaczęła się śmiać. - O Boże, trudno uwierzyć, że opowiadam to właśnie tobie! Może zmienimy temat...

- Nie ma mowy! - zawołał entuzjastycznie. - No proszę, mów.
- Hm... no więc... kiedyś siedziałeś na końcu trampoliny, a ja na leżaku. Sophie wtedy nie było. I wtedy właśnie... wtedy to sobie wyobrażałam.

- Co?

Klepnęła go po ramieniu.

- Hej, co tyś? Nie domyślasz się?! Roześmiał się.

- Jasne. Jaka konfiguracja? Kto był na górze?

- Ja.

Niby śmichy-chichy, a Greg niebezpiecznie zbliżał się do eksplozji. Och, ta wyobraźnia... Leży na trampolinie, Marissa siedzi na nim okrakiem...

- Hm... wielce interesujące. Nasze ruchy wzbudzają trampolinę, trampolina w rewanżu wzbudza nas, buju-buju, buju-buju...

- No, dość już, przestań! W każdym razie takie głupie myśli miałam nie po raz pierwszy.

- Czyli nie jestem w tym osamotniony. Niestety, nigdy jakoś się nie zgodaliśmy, żeby wspólnie urzeczywistnić te fantazje. -I być może nigdy to się nie stanie. Przecież Marissa chce stąd wyjechać. Zostawi go z tymi niespełnionymi marzeniami...

Huragan przetaczał się nad domem, ściany jęczały, ale nawet ten łoskot nie był w stanie zagłuszyć cichych słów Marissy.

- Może... może... teraz... powinniśmy skorzystać z okazji...

Marissa nie była pewna, co robi większy hałas, huragan czy jej serce, tłukące się w piersi jak oszalałe. Bo chyba po raz pierwszy w życiu podjęła decyzję bez wewnętrznej debaty. I czuła się z tym wspaniale.

Nie miała jednak pojęcia, jak Greg zareaguje na jej propozycję.

Nie odezwał się ani słowem, tylko od razu przystąpił do działania.

Pocałował ją w sposób taki... przekonujący. Potem położył ciepłe dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie bliżej. Wyczuwała, naturalnie, jak bardzo jest podniecony. A ona... ona niczego teraz bardziej nie pragnęła niż jego. Nie tylko go chciała, ale również najzwyczajniej w świecie potrzebowała, bo tylko w jego objęciach choć na chwilę mogła zapomnieć o tym, co ich czeka, kiedy wyjdą z

tego stalowego schronu. Chciała też poczuć, że żyje, że może robić to, co zechce.

Jeśli oszalała, to trudno. Było jej wszystko jedno. Przecież to może być nie tylko ich pierwszy raz, ale również ostatni. Wreszcie będzie miała całego Grega, a właśnie o tym marzyła od wielu miesięcy. Było to warte chwili szaleństwa. Przerwał pocałunek i szepnął:

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. I tak było.

- W takim razie chcę, żebyś pozbyła się tego ubrania. - Zaczął ściągać z niej T-shirt. - Jeśli nie mogę widzieć, to przynajmniej chcę czuć cię całą i nic nie powinno mi w tym przeszkadzać.

Czy mogła z tym dyskutować? Opierać się, kiedy sięgnął jej za plecy i rozpiął wilgotny stanik? Za stanikiem poszła cała reszta. Teraz Marissa była całkiem naga i bezbronna, okryta tylko ciemnością. I zdecydowanie gotowa na to, co miało zaraz nastąpić.

Greg pocałował ją, potem nagle zniknął. Usłyszała szelest materiału i cichy odgłos rozpinanego zamka błyskawicznego. Rozbierał się, czyli oboje doszli do punktu, z którego nie było już odwrotu. Ale to wcale nie odstraszało Marissy. Przez osiem długich lat była sama, żyła w celibacie, mimo że od czasu do czasu pojawiała się okazja, żeby to zmienić. Jednak żaden mężczyzna nie był taki jak Greg. Żaden nie działał na nią tak mocno jak on. I bała się, że tak już będzie zawsze. Kiedy materac ugiął się pod jego ciężarem, na krótką chwilę poczuła się niepewnie. Greg jest tuż obok niej, też całkiem nagi... ale kiedy objął ją, niepewność znikła. Dwa ciała wtuliły się w siebie, nogi splotły, ręce rozpoczęły swoją wędrówkę. Nie było blasku świec ani wina, ani nastrojowej muzyki w tle, tylko cichy pomruk komunikatów o pogodzie dobiegających z radia i szalejący huragan.

Stłumiła w sobie lęk, przestała słuchać odgłosów z zewnątrz, koncentrując się wyłącznie na Gregu. Minęło wiele czasu od chwili, gdy po raz ostatni spała z mężczyzną, bardzo więc chciała rozkoszować się każdym najmniejszym doznaniem. Dlatego kiedy Greg, przeprosiwszy ją, znikł gdzieś, natychmiast poczuła się porzucona i samotna. Miała zamiar zaprotestować, ale usłyszała pobrzękiwanie kluczy, potem szelest rozrywanego opakowania. Greg wyjmował z kieszeni prezerwatywę.

- Rozluźnij się, skarbie - szepnął, przygniatając ją znów swoim ciężarem.

- To... to może trochę potrwać.
 - Domyślam się. Będę ostrożny. Nie chcę sprawić ci bólu.
 - Jeśli będziesz zbyt ostrożny, to zadam ci taki ból, że popamiętasz!
- Zaśmiał się cicho.

- Dobrze, nie będę. Szkoda tylko, że nie mogę cię zobaczyć, ale jeśli zapalę światło, to obudzę papugę.

Tylko nie to. Pijacka piosenka w wykonaniu Baby na pewno zepsułaby nastrój, który był cudowny. Ciemność, objęcia Grega i jego szept...

- Jak się czujesz?

- Jak? Och, jakbym spała przez długi czas i teraz się obudziła. Od lat nie było mi lepiej. A może nigdy...

- Mnie też...

I tak było. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przeżywała coś cudowniejszego niż te chwile w kompletnych ciemnościach, kiedy razem z Gregiem szybowali ku rozkoszy. Nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa, usatysfakcjonowana, tak gotowa zrobić to jeszcze raz, kiedy nasyceni i ciasno spleceni ze sobą, pogrążali się we śnie. Ten sen nie trwał długo. Obudziła się natychmiast, kiedy poczuła, że Greg zsuwa się z niej.

- Co... co się stało? - spytała nieprzytomnym głosem.

- Nic, tylko zlitowałem się nad tobą. W końcu nie należę do najłżejszych facetów. A poza tym zrobiło się dosyć ciepło.

- Ciepło? Tu jest jak w saunie. Może nareszcie stracę tych kilka zbędnych kilogramów, które noszę na sobie od kilku lat.

Słyszała, jak Greg wstał, potem cichy szum wody lecącej z kranu. A więc przynajmniej mieli wodę. Nareszcie coś pozytywnego w tych negatywnych okolicznościach. Jednak chwilę potem tuż nad ich głowami dał się słyszeć jakiś łomot, który przypomniał, że okoliczności są zdecydowanie negatywne.

- Znow coś walnęło w dach – powiedział Greg. - Nie da się ukryć, że w ciągu najbliższych godzin będzie tego coraz więcej.

- Dziękuję, że mnie uprzedziłeś. - Niestety, teraz nic nie było w stanie odpędzić od Marissy przygniatającego strachu. Wyobrażenia podsuwała jej obrazy powalonych drzew, samochodów wirujących po ulicy i jej domu zrównanego z ziemią. Starła się odepchnąć od siebie te straszne obrazy, myśleć o tym, co działo się przed chwilą, jak

cudownie kochała się z Gregiem, chociaż w świetle obecnej sytuacji wydawało się to po prostu nielogiczne.

Nagle poczuła na twarzy przyjemny powiew. Otworzyła oczy i szybko je zamknęła. Greg włączył wiatraczki, w które wmontowane były również żarówki. Jeden z wiatraczków postawił na podłodze koło materaca, kierując snop światła na Marissę. Teraz jej nagie ciało było najlepiej oświetlonym punktem w tym pomieszczeniu.

- Nie musisz się odchudzać. - Przysiadł na brzegu materaca i zmierzył ją od stóp do głów. - Jesteś po prostu perfekcyjna.

Powiedział to z taką pewnością, a w spojrzeniu było tyle aprobaty, że naprawdę mu uwierzyła. Jednocześnie jednak poczuła się trochę skrępowana, taki nagły przyływ wstydu. Wyciągnęła poduszkę spod głowy i zakryła sobie nią oczy.

- Czy to światło jest potrzebne? - spytała.

- Tak. Chcę widzieć, co robisz.

Nagle poczuła na szyi coś wilgotnego. Odsunęła poduszkę i zobaczyła Grega z ręcznikiem w ręku, jakby zamierzał zorganizować jej namiastkę kąpieli.

- Przyjemnie? - spytał. Odrzuciła na bok poduszkę.

- Bardzo. Taki miły chłodek.

- To dobrze. Pewnie będziemy musieli się tym zadowolić przez kilka dni. Ty umyjesz mnie, ja umyję cię. Taka wzajemna wymiana uprzejmości.

- A, rozumiem. Dobrosąsiedzkie stosunki, doktorze Westbrook.

Umył jej drugą rękę, delikatnie przetarł piersi i przeszedł do mycia brzucha.

- Zawsze do usług, panno Klein. Moim jedynym pragnieniem jest zadowolić panią.

Już mu się to udało. Była bardzo zadowolona, choć jednocześnie czuła się jak skończona egoistka. Kiedy inni ludzie walczyli o życie, ona pozwalała się rozpieszczać. Wcale jednak nie miała ochoty protestować, kiedy Greg przystąpił do mycia nogi. Zaczął od kolana, potem przesunął ręcznik w górę, po udzie. Mimo że był jeszcze spory kawałek do najwrażliwszych miejsc, Marissa zadrżała.

- Woda za zimna? - spytał Greg.

- Och nie.

Teraz mył drugą nogę. Powtórzył cały proces, potem zabrał się do rejonów najbardziej intymnych. Marissa drżała jak liść na wietrze.

- Nie zimno ci? - spytał Greg.
- Nie, odwrotnie... Robi mi się coraz cieplej. I to twoja sprawa. Uśmiechnął się, odrzucił ręcznik i pocałował ją w pępek.
- Zawsze uważałem, że trochę przyjemności zarówno przed, jak i potem dobrze robi kobiecie.

Na pewno. Jej aż kręciło się w głowie po tych wszystkich trzech stadiach - przed, w trakcie i po. Ale teraz pora, żeby Greg też doznał tych dodatkowych przyjemności „po”.

Usiadła i pchnęła go lekko w pierś.

- Kładź się. Teraz moja kolej.
- Nie będę się opierał.

Zmoczyła ręcznik, wróciła na materac i zaczęła myć Grega równie staranie, jak on robił to przedtem. Zaczęła od ramion, potem tułów, potem jedna noga...

Nagle coś zatrzeszczało, potem małe pomieszczenie wypełnił męski głos:

- Doktorze Westbrook, proszę się zgłosić. Doktorze Westbrook!
- O cholera - cicho zaklął Greg.
- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona Marissa.
- Wzywają mnie. - Zerwał się z materaca i chwycił walkie-talkie. - Tak, słucham. Tu Westbrook.
- Witam, doktorze. Tu Charlie Godwin. Jestem w szkole.

Potrzebujemy pańskiej pomocy.

Jedna z kobiet zaczęła rodzić. Sanitariusze z ekipy ratunkowej mówią, że będzie szybki poród, ale bez pana nie dadzą rady. Oko cyklonu przechodzi teraz nad nami, będzie to trwać jakieś pół godziny.

Wystarczy, żeby pan tu dojechał.

- W porządku. Już jadę.

Rozłączył się, a Marissa poczuła paniczny strach.

- Greg, musisz tam jechać?
- Oczywiście. Na szczęście to niedaleko.

Natychmiast zaczął się ubierać, ona zaś, śledząc każdy jego ruch, zmagala się z gonitwą myśli. Jeśli Greg pojedzie tam, ona zostanie w tym stalowym bastionie.

Sama.

Wykluczone.

Zerwała się z materaca i zaczęła zbierać swoje ubranie.

- Jadę z tobą, Greg. Znieruchomiał.

- Nigdzie nie jedziesz. Nie wiadomo, co może się wydarzyć podczas jazdy do szkoły. Zostaniesz tutaj, tu jest bezpieczniej.
 - Ale ciebie tu nie będzie. Za nic nie zostanę sama!
- Zdawała sobie sprawę, że mówi jak rozkapryszone dziecko. Trudno.
- Papuga dotrzyma ci towarzystwa.
 - Jadę z tobą, choćbym miała wskoczyć na maskę.
 - Nie. Nie jedziesz.
 - Mogłabym ci pomóc.
 - Marisso! Nie zdajesz sobie sprawy, co tam się dzieje. Często ludzie, którzy nie mogą dotrzeć do szpitala, docierają do schronu. Połamani, poranieni, niektórzy mogą być umierający.
 - Dam sobie radę. Kiedy opiekowałam się ojcem, nauczyłam się, jak opatrywać ciężkie rany i podłączać kroplówkę. Poza tym, choć nie posiadam wiedzy medycznej, wiem, jak wspierać duchowo, zwłaszcza ludzi starszych. Proszę, Greg, pozwól mi jechać ze sobą. Wolę coś zrobić niż czekać tu beczynn timer, aż huragan stąd odejdzie. Proszę. Podrapał się po szczęce. Wnikliwe oględziny sufitu zajęły mu dobrą chwilę.
 - Zgoda, ale pamiętaj, jeśli po drodze zrobi się niebezpiecznie, natychmiast przywiozę cię z powrotem. I pojedę tam sam.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Oko cyklonu wykuło dziurę w pułapie ciemnych chmur, pozwalając przebić się słońcu. Wyglądało to wręcz surrealistycznie, ale też podnosiło na duchu, tak samo jak widok nietkniętego samochodu spokojnie czekającego w garażu. Dom, na pierwszy rzut oka, ucierpiał niewiele. Niestety, jeśli chodzi o dom Marissy, sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Kiedy przejeżdżali obok jej posesji, nawet nie spojrzała w tamtą stronę. Siedziała sztywno, przyciskając do piersi reklamówkę, w której znajdowało się kilka ręczników, butelek wody, coś do przegryzienia i, oczywiście, kudłaty piesek Egbert.

Zamknęła oczy. Dopiero kiedy wjechali na zasłaną śmieciami ulicę, spytała cicho.

- Czy on.....jeszcze tam jest?

- Tak, jest.

Ale ledwie, ledwie. Z tego, co zdążył Greg zauważyć, wiatę, pod którą stał sedan Marissy, przygniotło wyrwane z korzeniami ogromne drzewo. Samochód był zmiażdżony. Na dom też spadło kilka powalonych przez wichur drzew. Połowa dachu znikła. Tak wyglądało to od frontu, a co z resztą?

Kiedy wyjechali na główną drogę, zobaczyli samochód patrolowy i zastępcę szeryfa, który właśnie kierował kilka osób uciekających w ostatniej chwili do publicznego schronu. Greg odczekał, aż samochód z uciekinierami odjedzie, podjechał do zastępcy szeryfa i opuścił szybę.

- Jestem doktor Westbrook. Muszę jak najszybciej dojechać do szkoły. Jedna z kobiet zaczęła rodzić.

- Będę pana eskortował, doktorze.

- Dziękuję. Nie wie pan, czy są jakieś cięższe przypadki?

- Kilka zranień i złamana noga, ale to nie wszystko. Przed chwilą ratownicy znaleźli w domu koło plaży pięć osób.

- Jaki jest ich stan? - spytał Greg, choć wyraz twarzy zastępcy szeryfa mówił sam za siebie.

- Niestety, wszyscy nie żyją. A to dopiero początek. Kiedy oko cyklonu przesunie się na północ i znów rozpęta się tu piekło, można spodziewać się dalszych ofiar.

Zauważył, że Marissa nadal ma zamknięte oczy. Nienawidził samej myśli, że cierpiała. Wystarczyło, kiedy widział, ile kosztowało ją

rozstanie z papugą, jakby nigdy już więcej nie miała zobaczyć swojej Baby.

- Muszę tam dojechać - powiedział.

- Tylko ostrożnie, doktorze. Droga zawałona jest różnymi śmieciami. Będę pana pilotował, proszę jechać moim śladem.

Greg, jadąc za zastępcą szeryfa, włączył radio, żeby posłuchać najnowszych komunikatów. Żaden z nich nie był pomyślny. Huragan, zanim stąd odejdzie, zabierze jeszcze wiele istnień ludzkich i zniszczy wiele domów. Zdąży przysporzyć mieszkańcom półwyspu wiele cierpień.

Marissa, chociaż w końcu otworzyła oczy, nie odzywała się ani słowem, a Greg, kiedy mijali kilka kolejnych domów, stanowczo wolał, żeby oczy miała nadal zamknięte. Te domy wyglądały tak, jakby najechał na nie samochód-pułapka wyładowany trotylem.

Przerażona Marissa przycisnęła rękę do ust.

- Tak, wygląda to fatalnie - przyznał Greg. - Ale można się było tego spodziewać.

- Mój dom na pewno też jest zrównany z ziemią.

Oderwał rękę od kierownicy i lekko uściśnął drobną dłoń Marissy.

- Jeszcze nic nie wiadomo. Najważniejsze, to samemu przetrwać.

Powiedział to najbardziej pewnym, dodającym otuchy głosem, na jaki było go stać, choć dobrze wiedział, że jeszcze wiele może się zdarzyć.

Szkoła, pełniąc funkcję schronu, mogła też być zdemolowana, na przykład pozbawiona dachu. A jego klinika, położona niedaleko plaży... Pewnie zapełniona jest plażowiczami, oczywiście o ile jeszcze stoi. Jeśli nie, to trudno, trzeba będzie odbudować.

Bez przeszkód dotarli na zatłoczony parking koło szkoły. Bez przeszkód, ale w ostatniej chwili. Widzieli, jak kilka osób biegło do budynku. Znowu zrywał się wiatr. Huragan Eden powracał.

Poprzednim razem Marissa przyjechała do tej szkoły, żeby kibicować Jennifer Westbrook podczas rozgrywek w koszykówkę o mistrzostwo okręgu. Wtedy było tu wesoło, hałaśliwie i kolorowo. Teraz - całkiem inaczej. W wielkiej sali gimnastycznej było prawie ciemno, oświetlało ją tylko kilka latarek, bo wyłączono prąd. Tablica z wynikami straszyła czernią, nie słychać było hałaśliwego dźwięku wentylatorów, tylko przytłumione głosy. Sala była zatłoczona, panował w niej upał. Mała osada, nastawiona na ruch turystyczny, liczyła mniej niż tysiąc

mieszkańców. Marissa mogłaby prawie przysiąc, że w tej sali zebrało się całe Ocean Vista. Chociaż wcale tak nie było, bo zastępca szeryfa mówił przecież, że pięć osób nie żyje. Jak na razie...

Kiedy weszli do środka, natychmiast podszedł do nich jakiś mężczyzna w niebieskim mundurze ratownictwa medycznego, z dużą, profesjonalną latarką w ręku. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat, może jeszcze niedawno uczył się w tej szkole. Podał rękę Gregowi.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę, panie doktorze.

Przywitali się energicznie, po męsku.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Adamie. Jak wygląda sytuacja z rodzącą?

- Myślę, że zbliża się chwila rozwiązania. Mówiąc szczerze, nigdy jeszcze nie odbierałem porodu. W Ocean Vista rzadko trafia się taka możliwość, bo mieszkają tu głównie starsi ludzie.

- Kto jest teraz przy niej?

- Mój kolega, Raleigh. Pozostali, korzystając z chwili spokoju, pojechali z ciężej rannymi do Destin. Raleigh też nigdy nie odbierał porodu.

Greg poklepał go po ramieniu.

- W porządku, Adamie. Teraz ja się tym zajmę. Czy ona ma męża?

- Ma, ale jego tutaj nie ma. O ile wiem, służy w marynarce. Jest teraz na ćwiczeniach na Zachodnim Wybrzeżu. Mówiła, że mąż starał się złapać samolot, ale nie mógł tu dolecieć, ponieważ wszystkie okoliczne lotniska są zamknięte. Proszę za mną, panie doktorze. Sala porodowa jest w jednej z klas.

Przeszli przez zatłoczoną salę, świecąc latarką pod nogi, żeby przypadkiem na kogoś nie nastąpić. Po drodze Adam przekazał Gregowi kilka dodatkowych informacji na temat rodzącej. Nazywa się Amanda Stapleton, ma dwadzieścia jeden lat i rodzi po raz pierwszy. Trzy tygodnie przed wyznaczonym terminem, czemu nikt, łącznie z Gregiem, się nie dziwił. Stres i spadek ciśnienia przyspieszyły poród. Marissa szła za nimi, wymieniając po drodze krótkie słowa pozdrowienia ze znajomymi. Nancy z kwiaciarni, Sam ze sklepu spożywczego, Isabella z butiku. Na podłodze, w śpiworach, leżały pokotem całe rodziny, głównie emeryci, którzy chcieli jesień swego życia spędzić w Ocean Vista. A teraz domy, na które pracowali całe życie, mogą być już zniszczone przez straszliwy wiatr.

Wyszli przez podwójne drzwi i Adam poprowadził ich pogrążonym w egipskich ciemnościach korytarzem do małego pokoju oświetlonego kilkoma latarkami. Na podłodze, na kocu, leżała na boku młoda kobieta. Jej policzki mokre były od łez, jasne wijące się włosy lepiły się do twarzy. Obok niej klęczał młody ciemnowłosy mężczyzna. Gdy dostrzegł wchodzących, poderwał głowę i na jego twarzy pojawiła się wielka ulga. Był to na pewno ów Raleigh, bez wątpienia zachwycony widokiem doktora.

Greg przykucnął koło rodzącej i otworzył czarną lekarską torbę.

- Amando, jestem doktor Westbrook. Proszę, przekręć się na plecy, żebym mógł cię zbadać.

Otworzyła oczy i uniosła lekko głowę.

- Pan jest prawdziwym doktorem?

- Tak. - Greg uśmiechnął się. - Mam na to wszystkie stosowne dokumenty. Marisso, potrzebne mi ręczniki.

- Tak, oczywiście!

Zaczęła szperać w torbie, natomiast Greg włożył gumowe rękawiczki. Kiedy odbierał od Marissy ręczniki, delikatnie dotknął jej nadgarstka, jakby chciał dać do zrozumienia, że jej obecność jest bardzo pożądana.

- Amando, to jest Marissa Klein. Będzie siedziała przy tobie i pomoże nam.

Marissa natychmiast odłożyła reklamówkę i usiadła na podłodze.

- Cześć, Amando - powiedziała łagodnym głosem. - Będę cały czas przy tobie.

Przyszła mama popatrzyła na nią pełnymi udręki brązowymi oczami. Nagle jęknęła i złapała się za brzuch.

- Moje dziecko... Och, muszę przeć. Teraz!

- Nie, Amando. Nie przyj. - Greg podniósł prześcieradło, którym przykryte były jej nogi i zgiął je w kolanach. - Po prostu oddychaj głęboko, a ja cię zbadam.

Amanda, nie przestając jęczeć, zaczęła rzucać głową.

- Nie mogę się powstrzymać! Muszę przeć!

- Postaraj się, Amando. Dla dobra dziecka. Marisso, proszę, pomóż jej.

Ale jak? Może najlepiej robić to, co podpowiada instynkt.

- Nie martw się, skarbie, dasz radę - powiedziała i wzięła Amandę za rękę. - Patrz na mnie i po prostu oddychaj. Tak jak ja.

Utkwiła wzrok w Marissie i kilka razy odetchnęła głęboko.

- Bardzo dobrze - powiedziała Marissa, chociaż wcale nie była pewna, czy to, co robi Amanda, jest prawidłowe. Ale to nie miało znaczenia, najważniejsze, że funkcjonowało.

W końcu twarz Amandy odprężyła się, tak samo rozluźnił się uścisk jej palców.

- Już dobrze - szepnęła - Już przeszło.

- Adamie, poświęć tutaj - powiedział Greg. - Muszę coś zobaczyć...

Dobrze. - Poderwał głowę i spojrzał na Amandę. - Pełne rozwarcie.

Przy następnym skurczu możesz przeć.

- Naprawdę mogę? Greg uśmiechnął się.

- Tak. Mam nadzieję, że za chwilę będziesz miała swoje dziecko.

Ale chwila zmieniła się w kwadrans, kwadrans w godzinę. Amanda była coraz słabsza. Obaj sanitariusze wrócili do sali, ponieważ jeden z mężczyzn skarżył się na bóle w klatce piersiowej.

Amanda parła dzielnie, Marissa cały czas przemawiała do niej pieszczotliwie, podtrzymując na duchu. W końcu ukazała się przykryta ciemnym meszkiem główka dziecka. Greg powiedział Amandzie, żeby parła jeszcze raz, a potem nagle kazał jej przestać.

Marissa czuła, że coś jest nie w porządku.

- Greg! Co się stało?

- Dystocja barkowa. Bark dziecka zaklinował się pod kością łonową. Muszę je przemieścić. Marisso, proszę, usiądź za Amandą, złap za jej nogi i staraj się je trzymać jak najbliżej uszu.

- Dobrze.

Zrobiła, jak kazał, świadoma, jak ta pozycja musi być dla rodzącej niewygodna. Niestety, cały poród nie miał nic wspólnego z komfortem reklamowanym przez drogie prywatne kliniki...

Greg położył rękę na rozdętym brzuchu i nacisnął. Amanda jęknęła.

- Będzie bolało, skarbie, ale to jedyny sposób.

Amanda skinęła głową, po jej policzkach płynęły strumienie łez.

Marissa nie ustawała w pocieszaniu, uspakajaniu i dodawaniu otuchy.

Greg pracował bez przerwy. Marissa nie widziała dokładnie, co robił, widziała tylko jego poważną, skupioną twarz i ściągnięte brwi.

Nagle z ust Amandy wydobył się przejmujący krzyk.

- Wytrzymaj, Amando - powiedział Greg. - Muszę robić to bardzo ostrożnie, żeby nie uszkodzić barku dziecka.

Marissa nigdy nie czuła się tak bezradna. Przez moment pomyślała o swojej matce, która umarła, dając życie jedynej córce. I z przerażeniem myślała, co się stanie, jeśli zabiegi Grega nie przyniosą efektu. Ktoś będzie musiał umrzeć. Dziecko czy Amanda?

Natychmiast skarciła się w duchu. Wpada w histerię, a Greg przecież nie dopuści, żeby stało się coś złego. Wierzyła w to.

- Teraz przyj, Amando - polecił.

Nie była pewna, czy Amanda znajdzie w sobie jeszcze dość siły, ale z determinacją wparła brodę w pierś i parła.

- Chłopiec! Amando, gratuluję, masz syna.

Greg trzymał na rękach malutkie, nowo narodzone dziecko. Piękny chłopczyk, cały mokry. Tylko dlaczego... taki cichy?

- Greg - szepnęła przerażona Marissa - czy z nim wszystko w porządku?

Zajęty dzieckiem, nie odpowiadał. Wytarł je ręcznikiem, oczyścił ze śluzu usta i nos.

- Panie doktorze - rozległ się słabiutki głos Amandy - dlaczego on... nie płacze*?

W tym samym momencie malec odpowiedział matce bardzo głośnym, żalonym krzykiem. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Amanda, która, żeby urodzić swoje dziecko, przeszła przez piekło. Greg przeciął pępowinę, położył maleństwo na brzuchu matki i uśmiechnął się.

- Waży na pewno więcej niż cztery kilo, a gdyby urodził się w terminie, były jeszcze większy!

- Bo jego tata też jest duży - powiedziała z uśmiechem Amanda, kładąc rękę na główce maleństwa. - Będzie z ciebie dumny, synku.

Marissa patrzyła z zachwytem, jak na jej oczach między matką i dzieckiem od razu wytwarza się wspaniała więź. Niezliczoną ilość razy wyobrażała sobie, że ona też przeżyje coś tak cudownego, że pewnego dnia urodzi dziecko. Niestety, w ciągu ostatnich kilku lat świadomie odrzucała od siebie to marzenie, sądząc, że jest już za późno. Za późno, żeby znaleźć odpowiedniego mężczyznę. Poza tym i tak go nie znajdzie, bo tak naprawdę liczył się już tylko Greg, a on był nieosiągalny. Teraz może już mniej, ale co z tego, skoro ma już jedno dziecko. Na pewno nie zechce mieć więcej. Och, gdyby naprawdę chciał z nią być... może wtedy... ale wcale nie była tego pewna.

Lecz teraz, kiedy spojrzał na nią, widziała w jego oczach wdzięczność i dumę. I coś jeszcze, co zapaliło w jej sercu iskierkę nadziei.

- Dziękuję panu, panie doktorze, z całego serca. I pańskiej żonie - powiedziała Amanda wzruszonym głosem. - Państwo tak cudownie ze sobą współpracują.

- Nie jesteśmy małżeństwem - sprostował Greg. - Jesteśmy tylko sąsiadami.

Tylko sąsiadami. Niczym więcej. W jednej chwili iskierka nadziei zgasła w jej sercu. Poczuła, że chce stąd wyjść, a przynajmniej wstać już z tych kolan i rozprostować nogi.

- Wyjdę na chwilkę. W razie czego jestem w pobliżu.

Było to wszystko, co mogła zrobić, zanim emocje wezmą górę. Na szczęście zdołała opanować się na tyle, że wyszła do ciemnego korytarza i dotarła do miejsca, w którym, jak miała nadzieję, nikt jej nie zobaczy. Tam opadła na kolana i kiedy wicher jęczał na dworze, ona też płakała, po tym, czego nigdy nie miała i czego, być może, nigdy mieć nie będzie.

Greg polecił Adamowi czuwać przy młodej matce i niemowlęciu, a sam, oświetlając sobie drogę latarką, ruszył ciemnym korytarzem na poszukiwanie Marissy. Wkrótce ją odnalazł, bo była zaledwie kilka metrów dalej. Siedziała na podłodze pod żelazną szafką. Głowę oparła na kolanach, kolana objęła rękami.

- Marisso? - Usiadł obok niej i objął ramieniem. - Wszystko w porządku?

Poruszyła tylko głową i wtuliła twarz w jego pierś. Wtedy zorientował się, że Marissa płacze. A jak człowiek płacze, trzeba go pocieszyć.

Zaczął głaskać ją po głowie. Płakała dalej, wtedy pomyślał, że przesadził. Nie trzeba było jej prosić, żeby asystowała przy porodzie.

Poród sam w sobie nie jest czymś sympatycznym, a ten był szczególnie ciężki. Jednak Greg sądził, że Marissa jest silna i poradzi sobie w tej sytuacji. Niestety przesadził.

- Spisałaś się znakomicie. Amanda prosiła, żeby jeszcze raz serdecznie ci podziękować.

Podniosła twarz, otarła ręką łzy.

- Daj spokój, Greg. Przecież ja niczego nie zrobiłam. Po prostu... pottrzymałam tylko Amandę za rękę.

- Nie doceniasz siebie, Marisso. Sytuacja była poważna. Wiele osób ugięłoby się pod jej ciężarem, a ty dałaś sobie świetnie radę.

- Wiem, że sytuacja była poważna, ale jednocześnie to wszystko... to było jak prawdziwy cud. Jestem szczęśliwa, że mogłam to zobaczyć.

- To dlaczego teraz płaczesz?

- Bo ja... To nie ma nic wspólnego z porodem. Po prostu sobie o czymś przypomniałam.

- O czym?

Minęło kilka minut, zanim odpowiedziała:

- Przede wszystkim o mojej matce. Brakowało mi jej przez całe życie.

A poza tym... poza tym przecież ja czegoś takiego nie przeżyłam. I nigdy już nie zobaczę, jak moje dziecko przychodzi na świat.

Delikatnie ścisnął jej dłoń.

- Mówisz tak, jakbyś uważała, że dla ciebie już za późno. A przecież mnóstwo kobiet starszych od ciebie rodzi dzieci. Ciebie też to jeszcze spotka.

- Czyli wychodzi na to, że kiedy przeprowadzę się do Chicago, powinnam iść do banku spermy albo znaleźć faceta, który zgodzi się mnie zapłodnić.

Dla Grega ten wariant był nie do przyjęcia. Wyjazd do Chicago, jakiś inny facet... Nigdy!

- Pamiętaj, Marisso, zanim podejmiesz decyzję, zastanów się dwa razy. Nie wolno ci podejmować żadnych desperackich kroków.

- Och, Greg... - Znów wtuliła się w jego pierś. - Teraz jestem zbyt zmęczona, żeby w ogóle o czymkolwiek myśleć. Chciałabym tylko, żeby ten huragan już sobie poszedł.

- Niestety, potrwa to jeszcze kilka godzin. Za kilka godzin wrócą na swoje posesje i ocenią

szkody. Marissa zobaczy swój dom kompletnie zniszczony. Greg nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Adam powiedział mu o ostatnich komunikatach. Podano, że przeciętna prędkość wiatru wynosi do 108 km/godz., w porywach nawet do 224 km/godz., a wcale nie były to rekordowe wielkości Edenu. Teraz jednak nie pora dzielić się tymi smutnymi informacjami z Marissą. Potrzebowała kilku chwil spokoju, a najlepiej, gdyby się przespała.

Wyciągnął nogi i klepnął się w udo.

- Połóż tu głowę i zdrzemnij się.

- A co z Amandą i jej dzieckiem?

- Chodzi ci o małego Gregory'ego? Kiedy wychodziłem, zasypiał w objęciach matki. Oboje zasypiali.

Marissa roześmiała się.

- Amanda nazwała go twoim imieniem?

- Tak. Nie jestem pewien, czy ojciec będzie tym zachwycony.

Szykował się na syna i zapewne wybrał już jakieś imię.

- Jestem pewna, że kiedy dowie się, co zrobiłeś dla jego żony i synka, będzie bardzo zadowolony. - Podsunęła się do niego bliżej i położyła głowę na jego udach. - Byłeś nadzwyczajny. Wolę sobie nie wyobrażać, co by się stało, gdyby ciebie tam nie było.

Szczerze mówiąc, Greg też wolał sobie tego nie wyobrażać, tym bardziej że sama jego obecność to jeszcze nie wszystko. Jeden zły ruch mógł spowodować u dziecka uraz barku, a nawet paraliż. Gdyby nie udało się przemieścić barku w łonie matki, trzeba by było gnać na ostry dyżur, a to był najgorszy scenariusz ze wszystkich.

- Mam trochę praktyki w przyjmowaniu trudnych porodów. W swoim czasie było też tak z Jen.

- Co?! Odbierałeś własne dziecko?

- Oczywiście nie planowałem tego, ale nie zdążyliśmy dojechać do szpitala. Musiałem zatrzymać się na najbliższym parkingu. Byłem wtedy na pierwszym roku medycyny, bałem się strasznie. Do końca nie zdawałem sobie sprawy, co robię. - Urwał na chwilę, wracając myślami do tych chwil, które na zawsze pozostały w jego pamięci. Dobrych, wspaniałych chwil. - Jen była maleńka. Do dziś pamiętam jej rączki. I od razu zauważyłem dołki w jej policzkach.

- No proszę... - Poglaskała go po rękę. - A potem nie chciałeś już mieć więcej dzieci?

- Ja tak, ale Bev nie chciała. Powiedziała, że nie będzie sama wychowywać dzieci.

Zasłużył na jej gniew, przynajmniej w tej kwestii, ale nie zasłużył na jej niechęć, gdy przeprowadzili się do Ocean Vista, a on próbował ratować małżeństwo.

- Możesz jeszcze mieć dzieci - powiedziała Marissa. - Przecież wiadomo, że mężczyźni do późnego wieku mogą zostać ojcami. Roześmiał się.

- Sześćdziesięciolatek ojcem? Mnie to raczej nie odpowiada.

Zasłoniła ręką usta, żeby ukryć ziewnięcie.

- Myślę, że w tej sali gimnastycznej już teraz znalazłoby się kilka kobiet, które z radością miałyby z tobą dziecko.

Co z tego, skoro jedyną kobietą, której pragnął, była Marissa. I choć może było to szaleństwo, chciał mieć z nią dziecko. Nawet kilkoro, o ile ona też tego zechce.

- Prześpij się, skoro masz teraz ku temu okazję - powiedział.

Był zszokowany, że zaczyna na serio myśleć o dziecku z Marissą. I to kiedy nie wiedział jeszcze, co Marissa tak naprawdę do niego czuje. Czyli zbyt daleko wybiegał myślami w przyszłość...

Zgasił latarkę, oparł głowę o żelazną szafkę i zamknął oczy, ale pod powiekami nadal widział obraz Marissy. I mógł myśleć tylko o jednym. Żeby kochać się z nią jeszcze raz, i jeszcze raz.

Mieć ją w łóżku - prawdziwym łóżku - na tak długo, jak ona będzie chciała. Chciał ją w swoim życiu. Koniecznie.

Marissa obudziła z zeszywniałym karkiem i obolałymi plecami, czego sprawcą była twarda, bezlitosna posadzka wyłożona terakotą. Pod głową nie miała już podglówka z solidnych, męskich ud, lecz zrolowany koc. Była sama, ale już nie w ciemnościach. Czyli albo naprawiono sieć, albo włączono generator. Bardziej prawdopodobny wydawał się drugi wariant.

Wstała i na sztywnych nogach ruszyła korytarzem. Postanowiła zajrzeć do Amandy i jej synka, może zastanie tam też Grega. Kiedy szła korytarzem, uderzyło ją, że wszędzie panuje cisza. Żadnych trzasków, łomotu. Wicher nie wył, nie jęczał. Czyli huragan wreszcie odszedł.

Ostrożnie otworzyła drzwi do klasy, w której odbył się poród. Zastała tam Grega, obu sanitariuszy i rozpromienioną Amandę z maleństwem na ręku, którą Marissa powitała przyjaźnie:

- Cześć! Miło was widzieć. Wyglądacie o wiele lepiej.

Amanda uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Trochę jestem zmęczona, ale trudno, żeby było inaczej.

- To zrozumiałe. - Uklękła przy niej. - Twój synek jest przesłodki.

- Wiem! Chcesz go potrzymać?

Marissa kątem oka zauważyła, że Greg popatruje na nią.

- Och, bardzo chętnie.

Wyciągnęła ręce, Amanda podała jej owiniętego w ręcznik chłopczyka.

- Cudo!

Wzruszona Marissa ostrożnie przytuliła maleństwo do piersi. Był rzeczywiście śliczny z tymi czarnymi włoskami i rumianymi policzkami

- Czy wygląda jak tatuś?

- Jak dwie krople wody. Allan oszaleje z radości, kiedy go zobaczy.

Och, jak bym chciała, żeby już wrócił.

- Na pewno tu przyjedzie, kiedy tylko będzie to możliwe.

Dziecko zaczęło kręcić główką i popiskiwać. Marissa oddała je matce.

- Idź, malutki, do mamusi

- Na pewno jest znów głodny - powiedziała Amanda i zaczęła rozpinąć bluzkę.

Pragnąc uszanować jej prywatność, Marissa wstała, chwyciła swoją reklamówkę i ruszyła ku drzwiom.

- Za chwilę do ciebie przyjdę! - zawołał za nią Greg.

Poczekala na niego w holu. Kiedy do niej dołączył, zauważyła, jak bardzo jest zmęczony. Włosy miał w nieładzie, oczy zaczerwienione, ale i tak nic nie było w stanie oszpecić jego przystojnej twarzy.

- Greg! Ty chyba w ogóle nie zmrużyłeś oka.

- Nie. Za dużo adrenaliny.

- Chcesz wody? Albo krakersów?

- Nie, dziękuję. Huragan odchodzi, zaczną zgłaszać się ludzie z obrażeniami. Prawdopodobnie przez całą noc będę zajęty. Ale przedtem chciałbym cię odwiedzić do domu.

Do domu... O ile ona ma jeszcze dom...

- Wolałabym tu zostać, Greg. Mogę pomóc. W takich sytuacjach przydaje się każda para rąk. Jestem przecież... dobrą sąsiadką!

- Świetnie. Doceniam to - powiedział z przekonaniem.

- A więc od czego zaczynamy?

Przez kilka chwil stali w ciszy. I nagle Greg objął Marissę i pocałował ją. Był to długi pocałunek.

- W takim razie bierzemy się do roboty.

Przez kilka następnych godzin Greg opatrzył niezliczoną ilość drobnych ran i zaaplikował środki przeciwbólowe. Na szczęście, jak dotychczas, nie było ani jednego naprawdę ciężkiego przypadku.

Przez cały czas Marissa była u jego boku, dodając pacjentom otuchy. Zawsze wiedziała, co i jak komu powiedzieć, i w rezultacie w tym prowizorycznym ambulatorium była najlepszym lekiem na wszystko.

Bev nigdy by czegoś takiego dla niego nie zrobiła. Nie dlatego, że była osobą bez serca.

Skądże. W ciągu piętnastu lat ich małżeństwa Bev w sytuacjach kryzysowych ofiarnie stawiała jako wolontariuszka, ale medycynę uważała za kochankę Grega i od tych spraw trzymała się jak najdalej. Nigdy nie odwiedzała go w szpitalu, rzadko pytała, jak spędził dzień, co tam słyhać u niego w pracy. Próbował rozmawiać z nią o swoich kłopotach, obawach czy planach, ale Bev zawsze go zbywała. W końcu przestał próbować.

A Marissa była tym wszystkim szczerze zainteresowana. Zadawała wiele pytań, uważnie słuchała odpowiedzi. Teraz stała w rogu sali i rozmawiała z Alice Hawkins, właścicielką miejscowej pralni. Matka Alice, Vera Malone, stała pacjentka Grega, leżała na podłodze w pozycji embrionalnej. Jej żaloszny płacz przebijał się ponad szmer rozmów. Alice sama się nią opiekowała, za nic nie chciała się zgodzić na umieszczenie matki w pensjonacie dla seniorów. Marissa świetnie rozumiała jej problemy, przecież sama przez to przeszła.

Pochwyciwszy spojrzenie Grega, przeprosiła Alice i podeszła do niego.

- Greg, czy mógłbyś jakoś pomóc Verze?
- Nie bardzo. To ostatnie stadium Alzheimerera. Niewiele da się zrobić.
- Ale ona jest tak przerażona. Szkoda mi jej.

I Alice. Dobrze wiem, jak jest jej ciężko.

- Dobrze. Zaraz tam zajrzę.

Uśmiech Marissy był tak promienny, że zdawał się rozjaśnić całą zatłoczoną salę.

- Dziękuję.

Razem przeszli do rogu sali, gdzie leżała Vera. Alice na ich widok wstała z podłogi i uśmiechnęła się zmęczonym, nikłym uśmiechem.

- Dzień dobry, doktorze Westbrook.
- Witaj, Alice. Przyszedłem zobaczyć, czy nie można by w czymś pomóc pani matce. - Kiedy podeszedł bliżej, starsza pani wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Greg cofnął się.

Zbita z tropu Alice bąknęła:

- Ona pana nie pamięta.
- Może tak, może nie. W każdym razie nie jestem teraz pożądaną osobą.

- Jestem zupełnie bezradna. Pozostaje tylko nadzieja, że niebawem się zmęczy i zaśnie.

- Buddy, Buddy - zawołała żałośnie starsza pani. - Gdzie jest mój Buddy?

- Kto to jest Buddy? - spytała półgłosem Marissa.

- Piesek - wyjaśniła Alice. - Rozpieszczony buldożek, którego mama bardzo kochała. Zdechł dziesięć lat temu, ale mama czasami woła go, po prostu nie pamięta, że on już nie żyje. Niestety, najczęściej również nie pamięta, kim ja jestem.

- Mam pomysł. - Marissa sięgnęła do torby. - Może to jej pomoże. - Uklękła przy chorej i wsunęła swojego kudłatego pieska w ramiona Very.

- Pani Malone, dzień dobry! Proszę zobaczyć, Buddy przyszedł do pani.

Starsza pani w milczeniu patrzyła na pieska. Marissa głaskała ją po głowie i przemawiała łagodnym głosem.

Greg wiedział, że powinien już iść, bo wiele osób potrzebowało jego pomocy, ale stał, nie mogąc oderwać oczu od sceny, która rozgrywała się przed nim. Marissa miała pomiętą bluzkę, rozwichrzone włosy. Bandaż, którym owinął jej głowę, zsunął się poniżej rany. W niebieskich oczach widać było wielkie zmęczenie, lecz nie pamiętał, by kiedykolwiek wyglądała piękniej. Wzruszenie ścisnęło go za gardło.

- Aż trudno uwierzyć własnym oczom - powiedziała Alice. - Moja matka panicznie boi się obcych, a do Marissy czuje takie zaufanie, jakby znała ją od lat. Marissa jest cudowna.

Greg był tego samego zdania.

- Umie postępować z ludźmi. - A przede wszystkim ze mną, dodał w duchu.

Po kilku chwilach Marissa podeszła do nich.

- Chyba troszkę się uspokoiła. Alice uścisnęła ją serdecznie.

- Kochanie! Bardzo, bardzo dziękuję. Jak tylko mama zaśnie, zaraz oddam tego pieska.

- Proszę go nie oddawać. Pani Malone potrzebuje go bardziej niż ja.

Greg doskonale wiedział, ile znaczy dla Marissy ta pluszowa zabawka, wiedział, że wiązą się z nią wspomnienia o zmarłym ojcu. A jednak ofiarowała go udręczonej staruszce, by złagodzić jej ból. Już wiedział z całą pewnością, że Marissa to kobieta jedna na miliard. I w

tym momencie zdał sobie sprawę, że jest w niej zakochany bez pamięci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po upływie doby ogłoszono, że nadszedł koniec tej ciężkiej próby i wszyscy mogą już wracać do swoich domów. Huragan podążył na północ, racząc sąsiednie stany ulewnymi deszczami i, jak podano w ostatnich komunikatach, przeradzając się w tornada. Z ust do ust przekazywano sobie wiadomość, że większość domów w Ocean Vista uległo zniszczeniu, natomiast w centrum miasta - gdzie znajdowała się klinika Grega - huragan pozrywał dachy, poza tym teren ten był kilkakrotnie zalewany.

Kiedy Greg i Marissa wyjeżdżali ze szkolnego parkingu, siąpił deszcz. Niebo było szare, tak samo szaro i przygnębiająco było w duszy Marissy. Samochód Grega na szczęście nadawał się do użytku, choć tylna szyba była wybita. Kilka mniejszych aut zostało porwanych z ziemi i rozrzuconych po okolicy, niektóre wylądowały na innych samochodach. Tych, którzy pozbawieni zostali własnych pojazdów, rozwozili do domów zastępcy szeryfa i wolontariusze. Do domów, czy też do tego, co z nich pozostało.

Służby porządkowe przystąpiły do uprzątnięcia dróg. Na poboczu piętrzyły się góry śmieci, kawałki blachy i gałęzie, które jeszcze nie zostały usunięte. Jazda samochodem stała się prawdziwym biegiem z przeszkodami. Kiedy zbliżali się do celu, Marissa zastanawiała się w duchu, czy nie poprosić Grega, żeby zawrócił. Ale to nie miało sensu. Byłoby tylko odłożeniem na później tego, co nieuniknione. Musiała zobaczyć, co zostało z jej domu. Czy cokolwiek ocalało.

Kiedy dojechali na miejsce, Marissa doznała szoku. Słup z tabliczką z nazwą ulicy znikł, większość okolicznych domów doznała wielkich szkód. Zniszczone dachy, drzewa powyrywane z korzeniami.

Wszędzie walały się potrzaskane meble, sprzęty, ubrania. Słupy telefoniczne były przechylone albo leżały na ziemi. Widziała sąsiadów wpatrzonych w coś, co kiedyś było trawnikiem, a teraz przypominało zwinięty dywan. Niektórzy ludzie chodzili po ruinach swoich domów, szukając, co można jeszcze uratować. Marissa pomyślała gorzko, że za chwilę być może ona będzie robiła to samo.

Po chwili wiedziała już, że nie uratuje niczego.

Był dom. I nie ma domu. Jest tylko bezładna masa potrzaskanych desek, belek i materiałów izolacyjnych, otoczona przez nagie, całkowicie pozbawione liści drzewa.

Powoli otworzyła drzwi samochodu - miała wrażenie, jakby ważyły dwie tony - i stanęła na czymś, co kiedyś było trawnikiem. Nie była zdolna uczynić choćby kroku, jakby nagle całkowicie opadła z sił. Mogła tylko stać tak bez ruchu i dygotać.

Nie słyszała, jak Greg podszedł do niej. Objął ją ciepłymi ramionami.

- Chcesz poszukać, co ocalało? - spytał cicho. Potrząsnęła przecząco głową. Drobnym gestem, a kosztował ją tyle wysiłku.

- Nie. Zrobię to później.

- W takim razie chodźmy do mnie.

Do niego. Marissa spojrzała w prawo. Forteca doktora Westbrooka nadal stała, tylko podwórze było zdemolowane i zasłane różnymi śmieciami. Poza tym zniszczonych było kilka metalowych żaluzji.

Mogła poczuć teraz ukłucie zazdrości, ale naturalnie tak nie było.

Chwała Bogu, że przynajmniej ten dom ocalał.

Dzięki temu ocalała też Baby.

Spojrzała na Grega.

- Muszę sprawdzić, co z moją papugą. Pocałował ją delikatnie w policzek.

- Jestem pewien, że z nią wszystko w porządku. Chodźmy do niej. Odwróciła się w jego ramionach. W pięknych brązowych oczach zobaczyła współczucie.

- Chwała Bogu, że mam dokąd pójść - powiedziała cicho.

- Możesz zostać u mnie tak długo, jak zechcesz.

- Dziękuję, ale nie myślałam o twoim domu, tylko o Chicago.

Przez dwa kolejne dni Greg zajęty był niesieniem pomocy ofiarom żywiołu. Spał jak zając, jadł w biegu, do domu wracał tylko na godzinę, dwie, między jedną a drugą zmianą. Opatrywał rany, starał się podleczyć też dusze. Cierpliwie wysłuchiwał historii o cudownym ocaleniu, słów pełnych żalu o straconym dorobku całego życia. Starał się ze wszystkich sił pomóc tym ludziom, ale nie wszystko można było naprawić. Dotyczyło to również Marissy, która nie potrafiła otrząsnąć się ze smutnych przeżyć i pogodzić ze stratą.

Odmówiła przeszukania tego, co pozostało z jej domu, więc zrobili to za nią życzliwi sąsiedzi. Nie chciała też skontaktować się z firmą ubezpieczeniową. Greg próbował ją pocieszyć, ale bez skutku.

Przypadki depresji u tych, którzy ocaleli z huraganu, były dość rzadkie, zresztą Greg podejrzewał, że w przypadku Marissy to coś

więcej niż depresja. O wiele więcej. Nie miał pojęcia, kiedy zamierzała wyjechać do Chicago, on w każdym razie miał wrażenie, jakby w pewnym sensie już wyjechała.

Gdy akcja ratunkowa dobiegła końca, Greg uznał, że nadeszła chwila, by poważnie porozmawiać z Marissą. Jeśli naprawdę postanowiła wyjechać, niech to powie. Chciał usłyszeć to z jej ust. Co on z kolei na to powie, tego sam jeszcze nie wiedział. Oczywiście pragnął, aby została, nadal jednak uważał, że nie ma prawa jej o to prosić. Chciałby cofnąć zegar i odzyskać czas, który zmarnował, wahając się i tkwiąc w niezdecydowaniu, zamiast walczyć o stworzenie związku z Marissą. Niestety czasu nie da się cofnąć, ale jedno Greg mógł przecież zrobić. Powiedzieć Marissie, że ją kocha.

Wjechał na podjazd, wyłączył silnik i przez kilka minut po prostu siedział, porządkując myśli i zbierając się na odwagę. Kiedy wysiadł z samochodu, natychmiast uderzył go w nozdrza przyjemny zapach dolatujący z sąsiedniej posesji. Ktoś włączył grilla, a to z kolei świadczyło, że naprawiono trakcję elektryczną i ci, którym udało się zachować dach nad głową, urządzili sobie na dworze barbecue. Życie powoli wracało do normy. Będzie toczyć się dalej. Tak samo jak życie Grega... niestety, najpewniej bez Marissy.

Kiedy wszedł do salonu, zastał ją dokładnie w tym samym miejscu, w którym zostawił ją rano. Leżała zwinięta w kłębek w rogu sofy, na której spędziła dwie ostatnie noce. Greg przemierzył pokój, rzucił kluczyki na stolik i opadł obok Marissy.

- Oglądałaś telewizję? - spytał. Potrząsnęła przecząco głową.
- Nadal nie ma prądu - powiedziała bezbarwnym głosem.
- Chyba już naprawili trakcję. Zresztą działa generator. - Mówił jej o nim wczoraj i przedwczoraj.
- Och... - Bawiła się rożkiem poduszki, wyraźnie unikając wzroku Grega. - Nieważne, i tak spałam. Zdrzemnęłam się kilka razy. Ale jest już woda, chociaż myślę, że do picia się jeszcze nie nadaje.
- Przynajmniej można wziąć prysznic, zamiast myć się gąbką.

Natychmiast przypomniał sobie tę noc w schronie, kiedy się kochali. Trzy dni temu, a wydawało się, że minął co najmniej miesiąc. Marissa zachowywała się tak, jakby między nimi nic nie zaszło. W ciągu tych trzech nawet go nie dotknęła.

- Na pewno jesteś bardzo zmęczony, Greg.

- Jestem wykończony. Muszę zrobić sobie przerwę. Potem znów jadę do kliniki.

- Czy już wszystkich odnaleźli?

- Tak. Jest tylko dziewięć ofiar śmiertelnych, kilka osób w stanie krytycznym. Tylko kilka, można więc powiedzieć, że wyszliśmy z tego obronną ręką. Mogło być o wiele gorzej.

- I tak jest fatalnie... Pójdę do Baby. Tylko ona mi została.

Nie tylko. Miała przecież jeszcze jego. Gdyby tylko chciała... Lecz wcale nie był tego pewien.

- Zostań, Marisso. Musimy porozmawiać.

- O czym?

- O...

Przenikliwy dźwięk komórki nie pozwolił, żeby dokończył zdanie.

Ktoś znów potrzebował pomocy.

- Doktor Westbrook.

- Tata! Och, jak się cieszę! Czy wszystko w porządku?

- Jen? - Było to właśnie to, czego potrzebował. Usłyszeć głos swojej córki.

- Tak się martwiłam, kiedy usłyszałam o tym huraganie. Czy dom nadal stoi?

- Tak, oczywiście. Tylko drobne uszkodzenia, ale dzielnie wszystko przetrwał. Naprawdę nie ma się czym martwić. Gdzie jesteś, Jen?

- W Paryżu. A co z domem Marissy? Czy też w porządku?

- Nie.

- Ale ona jest...

- Tak. Tu, obok mnie.

- Och, cudownie, że wam się nic nie stało. Proszę, daj mi ją na chwilę.

Podał jej telefon.

- To Jen. Chce cię usłyszeć.

Oparł się o poduszki i czekał, aż Marissa skończy rozmawiać z jego córką, chociaż tak naprawdę miał ochotę przejść się.

- W porządku, Jen. Nie płacz. Wszystko będzie w porządku.

Marissa straciła dom, lecz mimo to pocieszała jego córkę. Jeszcze jeden dowód, ile w niej empatii i współczucia dla innych. Jeszcze jeden powód, dlaczego ją pokochał.

Przez dłuższą chwilę słuchała, potem powiedziała:

- Tak. Być może... ale obiecuję ci, że nie wyjadę przed twoim powrotem. Zostanę tu, o ile twój tata nie będzie miał nic przeciwko temu. Nie sądzę zresztą, żebym znalazła wolny pokój w hotelu w promieniu co najmniej dwustu kilometrów.

Świetnie. Czyli zostaje. Greg właśnie o tym marzył: zyskać na czasie. Tylko po co? By przekonać Marissę, żeby tu została na zawsze? Niestety najpewniej już podjęła decyzję...

Pożegnała się z Jen, oddała mu telefon i wróciła do skubania poduszki.

- Podoba ci się tam, dzieciaku? - spytał Greg, nie odrywając oczu od Marissy.

- Podobało mi się, ale teraz tylko się martwię. O ciebie, tato, i o Marissę. Wracam wcześniej, mama to zrozumie.

Greg nie był tego pewien.

- Nie, Jen. Nie ma sensu, żebyś wracała wcześniej. Tu panuje jeszcze chaos. Zostań tam tak długo, jak planowałaś.

- Dobrze. Tato, spróbuj namówić Marissę, żeby nie przyjmowała tej posady w Chicago. Mnie się wydaje, że tak naprawdę ona wcale tego nie chce. I wiem też, że ty nie chcesz, żeby ona wyjeżdżała.

Nie, nie chciał. Absolutnie nie chciał.

- To nie zależy ode mnie, Jen.

- Ale możesz w końcu jej powiedzieć, co do niej czujesz. Przecież wiesz, że ona kocha się w tobie.

- Nie. Wcale tego nie wiem. Ale taką miał nadzieję.

- Oczywiście, że się w tobie kocha. I ja wiem, że ty ją kochasz.

Dlatego nie pozwól jej wyjechać, dobrze?

- Zrobię, co się da.

Oczywiście, że zrobi, nawet jeśli nadciągnie nowy huragan albo powódź zaleje całe Ocean Vista.

- Dobrze. Zobaczymy się za kilka dni. Tato, Kocham cię.

Te trzy słowa znaczyły dla niego o wiele więcej, niż przypuszczała jego córka. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby te trzy słowa usłyszał także od innej kobiety i żeby ta kobieta nie odchodziła z jego życia.

- Ja też cię Kocham, Jen. Uważaj na siebie. - Rozłączył się. - Jak to dobrze, że Jen zadzwoniła.

- O tak! Greg, pożyczysz mi jutro swojej komórki? Chcę zadzwonić do Chicago i powiedzieć, że przyjmuję tę posadę. A moja komórka padła.

- Nie ma problemu.

Oczywiście, że był problem. I to wielki. Spojrzał na zegarek, podał telefon Marissie.

- Zadzwoń do nich teraz. Nie ma sensu odkładać tego na później. Przez chwilę wpatrywała się w komórkę. Na jej twarzy widać było wahanie.

- Zadzwonię do nich rano. Teraz przede wszystkim marzę o prysznicu.

- Jak chcesz. Ale coś mi się wydaje, że nie jesteś pewna, czy przyjąć tę pracę.

Wstała z sofy, obeszła stolik, zatrzymała się przed Gregiem.

- Tak myślisz? A powiedz mi, Greg, czy mam jakieś inne wyjście? Też wstał.

- Możesz zostać i odbudować dom. -

- To nie będzie już ten sam dom.

- Możesz zostać tutaj, razem ze mną.

- Nie, Greg. Nie chcę doprowadzić do tego, że będziesz miał mnie po prostu dość.

Odwróciła się na pięcie i wyszła, on zaś przeklął swoją nieudolność. Nie umiał wyłożyć wszystkiego jasno, kawa na ławę, jak na dorosłego i mądrego człowieka przystało. Dorosły był na pewno, musiało więc coś szwankować z tą mądrością...

Ale jeszcze nie było za późno. Jeszcze nie, dopóki Marissa nie wsiądzie na pokład samolotu do Illinois. Z tym, że on wcale nie zamierzał czekać. Postanowił natychmiast zmądrzeć i jak najprędzej naprawić swój błąd.

Idąc korytarzem, skopał buty z nóg, zdarł z siebie wszystko i nagi wkroczył do łazienki. Odsunął przezroczyste drzwi kabiny. Marissa na jego widok krzyknęła i wypuściła mydło z rąk.

- Co... co ty tu robisz?

Przed wszystkim starał się skupić wzrok na jej twarzy, a nie na równie zresztą cudownej reszcie.

- Muszę wziąć prysznic. Też jestem brudny.

- Nie możesz poczekać, aż skończę?

- Nie, bo muszę ci coś przekazać. Dokładniej, obnażyć swoją duszę.

Dlatego powinienem być przy tej ważnej czynności obnażony.

Skrzyżowała ramiona, by zasłonić piersi. Dobrze i to, przynajmniej w jakimś stopniu pomagało odzyskać zdolność koncentracji.

- Na litość boską, Greg! Idź sobie. Obiecuję, że zostawię ci trochę gorącej wody.

- Nigdzie nie pójde.

Strumień wody przewiercał mu plecy, skierował więc sitko prysznic na ścianę. Teraz nic nie powinno rozpraszać jego uwagi.

- Pytanie pierwsze. Co myślisz o mnie? Chwyła ręcznik, otarła sobie twarz.

- A o co ci dokładniej chodzi?

- Dobrze wiesz, o co.

- No... myślę, że jesteś cudownym sąsiadem i wspaniałym lekarzem. A już lepszego ojca nigdzie nie znajdziesz.

- A co myślisz o mnie jako o mężczyźnie? Na jej twarzy z wolna zaczął pojawiać się uśmiech.

- Jesteś supergość. To chciałeś usłyszeć?

- Nie. Chciałem usłyszeć, że to, co zdarzyło się między nami w schronie, nie było li tylko ulotną rozrywką w celu odwrócenia uwagi od tego, co działo się na dworze.

Uśmiech Marissy znikł.

- Nie, tak nie było. Chciałam być z tobą. Przecież ci to mówiłam.

- Ale odkąd tu wróciliśmy, unikasz mnie. Nawet mnie nie dotknęłaś. Nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś spać ze mną w moim łóżku.

- Przecież... przecież ciebie prawie tu nie ma. No tak. Znow jego praca jest największą przeszkodą.

- Nic na to nie poradzę.

- Greg! Przecież doskonale rozumiem, dlaczego tak jest. Ludzie cię potrzebują.

- A ja potrzebuję ciebie, i to od dawna! Każdego dnia i każdej nocy, w dobrych i złych chwilach... Marisso! Naprawdę potrzebujemy siebie nawzajem.

Spojrzała w bok.

- Greg, zrozum... Nie możemy dopuścić, żeby to coś, co zdarzyło się między nami, przerodziło się w coś poważniejszego. Skomplikujemy tylko sytuację. Przywykniemy do siebie...

- A nie chcesz tego?

- Chcę...

- Czego chcesz, Marisso? Bo jakoś trudno mi ciebie rozszyfrować.

- Ja... chcę skończyć się myć. A ty czego chcesz?

- Chcę, żebyś została w Ocean Vista. Na zawsze.

Jej palce zacisnęły się na ręczniku.

- Boisz się, że nowi sąsiedzi się nie sprawdzą?

- Nie. - Wciągnął głęboko powietrze, szykując się do złożenia swego serca u stóp najwspanialszej i najcudowniejszej kobiety na świecie. -

Kocham cię, Marisso.

Kocham cię...

Słyszając tę deklarację, omal nie padła na mokrą, śliską posadzkę. Albo może i nie dosłyszała, dlatego zapragnęła powtórki.

- Co?

- Kocham cię.

Nie, to niemożliwe. Jak to mogło się stać? Tak nagle, tak łatwo. Stoi przed nią i mówi, że ją kocha, dając tym samym najśłodszą odpowiedź na jej największe marzenia.

- Aha... Tak mi się zdawało, że to właśnie usłyszałam. Teraz próbuję zebrać myśli i dojść, dlaczego mi to powiedziałeś, i to właśnie w tej chwili.

- Ponieważ boję się, że przed twoim wyjazdem nie będę miał już ku temu okazji. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Marisso, choć zarazem wiem, że nie mam prawa cię prosić, żebyś została. - Naprawdę nie miał prawa. Jeszcze nie.

- A dlaczego sądzisz, że mnie kochasz?

- Ja tak nie sądzę, ja po prostu to wiem. Wiem, że od pierwszego dnia, kiedy cię poznałem, coś mnie do ciebie zaczęło ciągnąć. Z niecierpliwością czekałem na twoje wizyty, a kiedy odchodziłaś, z trudem powstrzymywałem się od tego, żeby nie pobiec za tobą do twojego domu. I wcale nie chodziło tylko o seks. Chociaż... - po jego twarzy przemknął uśmiech - seks z tobą to coś wspaniałego. Przecież wiem...

Ona też w tej kwestii wiedziała coś niecoś.

- Mów dalej.

- Kocham cię, bo mnie rozumiesz. Rozumiesz moją pracę. Nigdy nie spotkałem kobiety, która by innym ludziom okazywała tyle serca co ty. Czasami doprowadzasz mnie do rozpaczyny swoją ostrożnością i rozsądkiem, ale mogę przymknąć na to oko, jeśli ty przymkniesz swoje na mój obyczaj, polegający na tym, że najpierw w coś wchodzę, a dopiero potem zadaję pytania.

A to dla niej w tym momencie stanowiło największy problem.

- Czyli to, co właśnie teraz robisz?

- Nie. Tym razem bardzo długo się zastanawiałem. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich dwóch dni nie myślałem o niczym innym. Myślałem tylko o tobie i klnę się na Boga, że jeśli wyjdiesz z mojego domu i nigdy tu nie wrócisz, to nie wiem, co zrobię.

Pomysł, by opuścić ten dom, wcale nie wydawał się Marissie pociągający. Szczerze mówiąc, wydawał jej się czymś najgorszym, co mogła zrobić. Opuścić ten dom, odrzucić szansę na stworzenie z Gregiem czegoś trwałego, takiego na całe życie...

- A gdybym tu została, jak to dalej miałyby wyglądać?

- Zobaczymy, jak będziemy funkcjonować razem. Chociaż ja już teraz wiem, że wszystko będzie dobrze. Po prostu jak najlepiej.

- Na to nie ma żadnej gwarancji. Zawsze może się zdarzyć, że jednak wcale nam nie będzie ze sobą dobrze. Może się nawet okazać, że wcale się sobie nie podobamy.

- To się nie zdarzy.

- Skąd ta pewność?

- A stąd, że nigdy bym się nie ożenił z kobietą, która mi się nie podoba.

Ożenił? Hm... To zabrzmiało naprawdę interesująco. Marissa z trudem powstrzymywała się od standardowego uszczypnięcia się w celu sprawdzenia, czy to nie sen.

- Mówisz serio?

- Jestem śmiertelnie poważny, chociaż wcale nie musimy pobierać się już dziś czy jutro, a nawet za pół roku. Zrobimy to, kiedy oboje będziemy do tego święcie przekonani.

Zaśmiała się, chociaż tak naprawdę chciało jej się płakać. Naturalnie z radości.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że spotkają mnie oświadczyzny pod prysznicem, ale nigdy też nie spodziewałabym się, że będę się kochać w schronie.

Objął jej twarz.

- Jest tylko jeden mały problem.

- Jaki?

- Nie wiem, co do mnie czujesz.

- Ja? Ja kocham cię, Greg, i to nie od dziś. Przytulił ją i pogłaskał po mokrych, śliskich od

mydła plecach.

- Czyli Jen miała rację. Powiedziała mi, że kochasz się we mnie.
- Mądra dziewczynka.
- Czyli wyjdiesz za mnie?

Marissa miała wielką ochotę wrzasnąć „tak!”, ale wiedziała, że nie będzie usatysfakcjonowana, póki nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania.

- Muszę ci się przyznać, Greg, że ja chcę wszystkiego. Kariery zawodowej, własnego domu, nawet męża.
- Możesz to wszystko mieć. Mogę przenieść się do Chicago i podjąć pracę w szpitalu lub w pogotowiu...

Przerwała mu pocałunkiem, takim raczej przelotnym. Na razie.

- Nad wieloma sprawami trzeba się zastanowić.
- Popracujemy, nad czym tylko trzeba, Marisso. Wszystko się uda, jeśli będziemy razem.
- Tak. Rozumiesz, Greg, że Chicago to dla mnie jedyna okazja, aby rzucić się w świat żeli.

- Naprawdę tego chcesz?
- Nie. Tak naprawdę to wcale.

Ciepłe dłonie Grega pogłaskały mokre i śliskie od mydła pośladki.

- A tak przy okazji... kto tak naprawdę potrzebuje tego żelu?

Marissa na pewno nie. Dzięki Gregowi. Wystarczyło, że ją pogłaskał, a jej ciało domagało się czegoś bardzo gwałtownie.

Tego głaskania było teraz coraz więcej, pocałunków też.

Marissa resztką przytomności wydyszała:

- Greg... weź prezerwatywę Na sekundę znieruchomiał.
- Mogę wziąć. Jeśli uważasz, że to konieczne.
- Mogę zająć w ciążę.
- Oczywiście, ale mnie to wcale nie martwi.
- Nie? Poderwała głowę.
- Chcesz... zaryzykować?
- Wcale nie nazywam tego ryzykiem. Wiem, że chciałabyś mieć dziecko, natomiast ja twardo obstaję przy tym, że jeśli już, to tylko ze mną. Innej możliwości nie dopuszczam. Poza tym wcale nie jestem jeszcze za stary, żeby zakładać prawdziwą rodzinę. I powtarzam... - Pocałował ją, niby delikatnie, ale tak jakoś z całego serca - ...to nie jest ryzyko, tylko prawdziwe błogosławieństwo. Wystarczy spojrzeć na Jen. - Zadumał się na chwilę. - Właśnie pomyślałem o mojej córce

i już wiem, czego najbardziej ze wszystkiego pragnę. Chcę znów zostać ojcem, chcę mieć dzieci. A jeśli już, to tylko z tobą.

Wiedziała, że mówi prawdę. Dlatego - po raz pierwszy w swoim życiu - w mig podjęła decyzję, po prostu niczym błyskawica. I to decyzję ostateczną.

- Kocham cię, Greg. Zostanę z tobą i pobierzemy się, chociażby po to, żeby świecić przed Jen dobrym przykładem. Ale nie pojedziemy do Chicago. Zostaniemy tutaj, w Ocean Vista. Mój ojciec urodził się na Florydzie, tutaj dorastał, nauczył mnie kochać to miejsce. Kocham tę małą ojczyznę prawie tak bardzo jak ciebie. Chcę, żeby nasze dzieci wyrosły właśnie tutaj.

- A więc zostajemy. - Objął ją, a serce Marissy pełne było radości. Co prawda jej ukochany dom został zmieciony przez huragan, ale to tylko ściany i dach, a wspomnienia i tak pozostają na zawsze. Schowane są bezpiecznie w naszych sercach, zarówno stare wspomnienia, jak i nowe, dla których zawsze znajdzie się miejsce.

Z Gregiem u boku - doktorem z sąsiedztwa, przyjacielem, kochankiem, a wkrótce towarzyszem życia - Marissa będzie miała mnóstwo pięknych wspomnień. Razem z nim zdołają wszystko przetrwać, stawić czoło najgroźniejszym huraganom. I jeśli Bóg da, stworzą prawdziwą rodzinę, rodzice i dzieci, jak dobry Bóg to wymyślił.

A każda nowa rodzina to nowy początek.

Nowa nadzieja.

EPILOG

Urodziła się przed trzema tygodniami, kiedy ziemię zraszał kwietniowy deszcz. Mała istotka o czerwonej twarzyczce, głośno protestująca przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Przyszła na świat prosto w ramiona swojego ojca, który nalegał, że odbierze poród osobiście. Chciał, aby pierwsze ręce, jakie dotkną jego dziecka, były to jego ręce. Ręce ojca.

Małą wrzeszczącą istotkę natura obdarzyła złocistymi włoskami, jasnoniebieskimi oczami, rozkosznymi dołeczkami w policzkach i ogromną determinacją. Bóg dał jej ponadto bezgranicznie kochających ją rodziców, którzy ponadto i w sobie nawzajem zakochani byli bez pamięci. Powtarzali to sobie bardzo często, a miłość swoją przypieczętowali małżeńską przysięgą. „Będę cię kochać i nie opuszczę aż do śmierci”.

Dobry Bóg, jakby tego było mało, dał jej również wspaniałą starszą siostrę, która wprost oszalała z radości na wieść, że nie jest już jedynaczką.

Dzień maleństwa zaczynał się i kończył w pokoju przylegającym do pokoju Jen. Kołyska ustawiona była niedaleko okna, z którego widać było miejsce, gdzie kiedyś stał dom jej dziadka, zanim nadciągnął huragan. Teraz był tam plac zabaw z drewnianą huśtawką i zjeżdżalnią, pomalowaną na jaskrawoczerwony kolor. Stała koło starego zimozielonego dębu, który ocalał. Ten plac zabaw czekał, aż malutka dziewczynka podrośnie i będzie na własnych nóżkach badać okolicę, uczyć się, jak to jest biegać na bosaka po trawie, wdychać zapach oceanu, czuć na twarzy gorące promienie słońca.

W pokoju maleństwa stał stary bujany fotel dziadka, ocalały z huraganu. Obity został na nowo żółtą skórą. W tym fotelu siadała teraz matka, kiedy karmiła maleństwo, siadał też ojciec, kiedy kołysał je do snu. Na tym fotelu wysiadywał Egbert, którego kilka miesięcy temu zwróciła wdzięczna córka pani Malone, opowiadając ze wzruszeniem, że kudłata zabawka była dla jej matki prawdziwym aniołem stróżem. Pani Malone zasnęła snem wiecznym, tuląc swego „Buddy'ego” w ramionach.

Repertuar Baby wzbogacił się o inne piosenki, a mianowicie o kołysanki. Wykonywała je, co warto zaznaczyć, wyjątkowo czysto. Nadzwyczajna papuga z zapalem śpiewała je dla Hope, takie bowiem imię wybrali rodzice dla swojej pociechy. Hope Klein-Westbrook

uosabiała dobro, które odrodziło się ze zniszczeń, jakich dokonał straszliwy żywioł. Hope - nadzieja dla wszystkich. Dla starszej siostry nieustanne źródło radości, dla taty druga ukochana córeczka, a dla mamy - prawdziwy cud.

Burza uczuć

Sił natury nie można zwalczyć...

Żywoły i ludzka namiętność są tak samo nieprzewidywalne i niebezpieczne...

Kristi Gold Huragan

Floryda

Marrisa Klein nie może się zdecydować, czy podjąć nową pracę w Chicago i opuścić swój dom na Florydzie, a tym samym także doktora Grega, wspaniałego sąsiada, z którym od lat jest zaprzyjaźniona. Nagle nadciąga niszczycielski huragan. Marrisa i Greg

ukrywają się w schronie. Zapominają o grozie panującej na zewnątrz, pozwalając, by zawładnęła nimi długo skrywana namiętność...